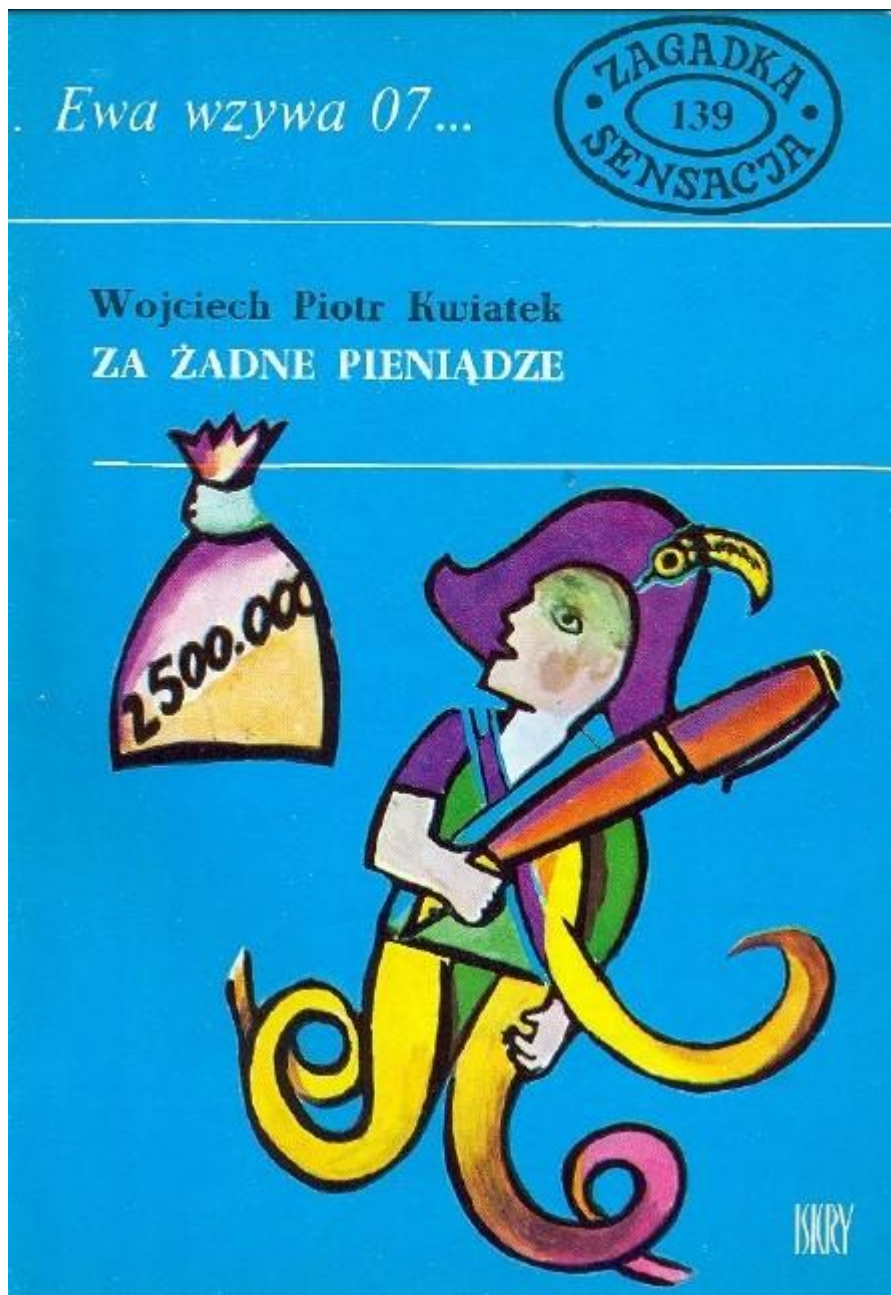


*Ewa wzywa 07...Ewa wzywa 07...*

# Wojciech Piotr Kwiatek Za żadne pieniądze

---



# Wizyta

---

*Wtorek, przed północą*

Maleńkie, walizkowe „olivetti” trzaskało seriami, na dłuższy lub krótszy moment zakłócając zupełną niemal ciszą niedużego pokoju, położonego w oficynie starej, czynszowej kamienicy na tyłach Nowowiejskiej, Siedzący przy maszynie mężczyzna co chwila nerwowym ruchem sięgał po tłęcego się w popielnicze carmena, zaciągał się w pośpiechu. Podczas tych parosekundowych przerw jego myśl pracowała widać z większą intensywnością i musiał zdwajać tempo, by tej intensywności sprostać, by dogonić uciekające w wariackim pędzie słowa. Co kilka minut rozlegał się delikatny terkot wałka i nowa stronica powiększała niewielki stosik już zapisanych, układanych starannie na spiętrzonych byle jak stercie książek, zajmującej przestrzeń po prawej ręce zgarbionego nad maszyną człowieka.

Paweł Niewczas spieszył się. Wprawdzie godziny otwierającej się przed nim nocy dawały gwarancję, że zdąży, istniało jednak zawsze pewne ryzyko. Nie znosił bowiem nachodzących go w ferworze pracy kwadransów zupełnej jałowizny. Nie umiał sobie z nimi radzić, choć nie był w swoim fachu nowicjuszem, a poza tym nim usiadł do maszyny, wszystko musiał mieć poukładane w głowie, skomponowane nawet w ważniejszych szczegółach, tak, by napisanie tekstu było tylko formalnością.

A jednak te irytujące chwile zupełnej czczości myślowej zdarzały mu się. Ba, potrafiły mu niejednokrotnie zupełnie uniemożliwić pisanie. Ilekroć się nad tym zastanawiał, dochodził do przekonania, że to przez tę jego dziwaczną wobec otaczającej go wszędzie bylejakości skłonność do perfekcji. Ilekroć zdanie czy nawet cały fragment nie były w jego przekonaniu idealnie takie, jakie być powinny, rezygnował z nich natychmiast. Zapadał wtedy w zupełne odrętwienie. Ale myśl pracowała gorączkowo, aż przywołała te jedyne, celne sformułowania. Odzyskiwał natychmiast energię i maszyna rozpoczynała swą kanonadę od nowa.

Dlatego wołał się pośpieszyć. Tekst miał być w redakcji na dziewiątą rano, czasu było pozornie dość, ale na tym szkicu Pawłowi zależało szczególnie. Gra, którą prowadził, a w której dokonywał właśnie jednego z decydujących posunięć, była w jego przekonaniu grą o sporą stawkę. W każdym razie robił wicie, by tak właśnie myśleć. Nie przychodziło mu to teraz, jesienią siedemdziesiątego dziewiątego roku, bez trudu. Coraz częściej w ciągu ostatnich dwu, trzech lat nachodziło go bowiem zwątpienie w sens tego, czym się na co dzień zajmował. Gdy blisko dziesięć lat temu, u schyłku lat sześćdziesiątych, wstępował „na poważnie” w szranki publicystyki kulturalnej, gdy w czasopismach zaczynały się pojawiać jego bardziej znaczące teksty, Niewczas przepełniony był bez reszty wiarą w możliwość konstruktywnej, na pozytywnym programie opartej działalności krytycznej. Był przekonany, że zgromadzony przez okres studiów potencjał intelektualny, wsparty jako tako ukształtowanym systemem wartości oraz odpowiednią siłą argumentacji, otworzy mu drogę do ludzkiego zaufania. Pisał więc sporo, drukowano go chętnie, bo był ostry, taki młody gniewny z talentem, to się mogło podobać. Ale Niewczasowi nie chodziło o poklask. Czekał na efekty. A tych nie było. Wyprowadzane z coraz większym zacietrzewieniem ciosy w głupotę, pozory i niekompetencję zdawały się trafiać w pustkę. Nie mógł tego zrozumieć, młodzieńcze przeświadczenia podpowiadały coś zupełnie innego. Lata zażartych dyskusji z kolegami z uczelni, poszukiwanie recept na wszyst-

ko, starannie formułowane diagnozy na temat marazmu w kulturze ich czasów i górujące nad wszystkim przeświadczenie o konieczności rozbijania zastanych układów — sprawiły, że w chwili, gdy otrzymał dyplom ukończenia warszawskiej polonistyki, Paweł cały wypełniony był wiarą, że wystarczy zacząć, powiedzieć raz głośno to, co się myśli, a oczyszczający ferment rozpocznie się i nic nie będzie w stanie go powstrzymać.

Ale rzeczy szły niezmiennym torem. Bo choć Niewczasowi udało się dostać na łamy najlepszych pism literackich, choć zaczął systematycznie pisywać recenzje dla wydawnictw, choć grafomanie, niedostatki talentu i pustotę pozornych eksperymentów artystycznych obnażał i wytykał bez ogródek, efekty tej działalności były więcej niż wątpliwe. Chwalono go, ale jego opinie nie były brane pod uwagę, zwalczani autorzy czuli się coraz lepiej. Raz i drugi zwrócono mu wreszcie uwagę, że się niepotrzebnie zacietrzewia, że brak mu jeszcze „dystansu i właściwej perspektywy oglądu zjawisk literackich”. Argumentując wzniosie i szeroko, tłumaczono mu, że to wszystko nie jest takie oczywiste i jednoznaczne, jak mu się wydaje.

Paweł był uparty, wiara w konieczność tego, co robi, tkwiła w nim mocno. Ale z upływem lat zaczęła słabnąć. Ton jego publicystyki stał się napastliwy, nie-wolny od szyderstwa i personalnych „wycieczek”. W efekcie w kilku miejscach odmówiono mu dalszej współpracy. W czasie toczonych przy nieodłącznym udziale sporych dawek alkoholu dyskusji z garstką przyjaciół coraz częściej więc deklarował gotowość przekwalifikowania się. Wspominał o budownictwie, gdzie stale potrzebują rąk do pracy, w atakach furii wrzeszczał, że to jest przynajmniej konkret — budowanie domu, kładzenie cegieł, tego nikt nie zaneguje, na to czekają setki tysięcy ludzi, to jest jednoznaczne. „MZK też nie jest zresztą najgorsze! — krzyczał. — Kierowca to jest zawód, to jest jakaś gwarancja, że się jest potrzebnym. Za kierownicą też przecież można myśleć, jeżeli się odczuwa taką potrzebę!”

Przewycięzał te chandry, bo coraz częściej spotykał ludzi, którzy sądzili podobnie. Postarzali, owładnięci strachem lub twórczą niemocą „możni” życia kulturalnego nazywali ich pogardliwie „naprawiaczami świata”, ale w obelgach i szyderstwach właśnie widział zapowiedź ich klęski. Jątrzące pamięć wspomnienie incydentu sprzed lat, postępuku, którego się potem zawsze wstydził, stanowiło dodatkowy bodziec, by nie rezygnować...

Toteż bardzo mu zależało, by gra, którą właśnie prowadził, zakończyła się sukcesem. W tej jednej sprawie jakoś mu szło, rzecz nie była właściwie warta świeczki, ale po latach rozgoryczenia Paweł doszedł do wniosku, że uderzać trzeba tam, gdzie jest to możliwe, nieważne, czy skala zagadnienia była makro czy mikro. „Jakie to śmieszne — myślał, — Pokaż mi swoich przeciwników, a powiem ci, kim jesteś”.

Ale nie rezygnował. Początek był obiecujący i teraz należało sprawę umiejętnie sfinalizować. Więc się spieszył.

Tymczasem wszystko układało się fatalnie. Ten dzień, dzień, kiedy zamierzał spokojnie wykonać planowaną od dawna pracę, był jednym z najtrudniejszych dni jego życia. Te wizyty... decyzje... Sam nie do końca wierzył w ich słuszność, ale był rozdrażniony, gotowe zdania nie napisanego jeszcze tekstu pchały mu się do głowy, chciał już zostać tylko z nimi. A tu masz — jak na złość!...

Sięgał właśnie po stojącą na podłodze przy biurku butelkę piwa, gdy u drzwi zaterkotał krótko dzwonek.

Na dłuższą chwilę Paweł zamarł w bezruchu. Siedział tak z przymkniętymi oczyma czując, jak wzbiera w nim dzika furia. „Nie otworzę! — pomyślał. — Niech to szlag trafi. Nie otworzę!”

Wstał jednak. To nie miało sensu. Odgłos stukającej maszyny był dostatecznie dekonspirujący.

Szybko przemierzył pokój i niewielki hall. Otworzył drzwi, nie zapalając światła.

Poznał go od razu.

## „Artysta” wkracza do akcji

---

*Środa, prawie samo południe*

Tak, oczywiście znałem tego człowieka. Przez siedem lat zmienił się nieco, ale nie aż tak, żeby natychmiast nie odżyły we mnie wspomnienia — jedne z lepszych, jakie miałem — pięciu spędzonych na Krakowskim Przedmieściu lat, których — gdy się wypełniły — nikt nie żałował, ale za którymi każdy zatęsknił już po pół roku od chwili podjęcia pierwszej samodzielnej pracy. Z trzech miesięcy studenckich wakacji, po których do kumpli na wydział wracało się z utęsknieniem, robiło się nagle przepisanych ustawą siedemnastu dni. Ze wspaniałego rozmawiania, lekceważenia punktualności i narzucanych autorytetów wpadało się natychmiast w coś na kształt dworskiej etykiety, która wszystkim każe zapinać się pod szyję, podpisywać listę obecności i modulować starannie głos w rozmowie z szefostwem. Wtedy wspomnienie Krakowskiego Przedmieścia, spadającej na łeb na szyję Oboźnej, „Harendy”, gdzie nad dziesiątkami butelek piwa było się w stanie rozwiązać każdy problem — wspomnienie tego wszystkiego wracało niemal automatycznie. Powróciło to i do mnie, gdy w pokoju na trzecim piętrze starej, ale dobrze się jeszcze trzymającej kamienicy niemal w centrum Warszawy zobaczyłem martwą twarz Pawła Niewczasa.

Było w tym coś absurdalnego. Paweł?! Przecież niedawno skończył trzydziestkę... Jakoś głupio, cholera... Za wcześnie... Jasne, bywa, że facet rozwali się samochodem, utopi się po pijanemu... Ale żeby...

„Bredzisz — powiedziałem sam do siebie. — To jest właśnie jeden z takich wypadków, które nie zdarzają się często, ale jednak się zdarzają”.

Bo przecież Niewczas został zamordowany. Nie umarł na zawał ani z powodu wylewu. Ktoś zastrzelił go w jego własnym mieszkaniu. Ja zaś — porucznik Rafał Ryski — mam odpowiedzieć na kilka elementarnych pytań: kto, w jakich okolicznościach i dlaczego to zrobił. Na pozostałe z tych podstawowych pytań nie trzeba było szukać odpowiedzi. Wystrzeloną łuskę znalazłem pod drewnianą obudową kaloryfera, zwłoki nie nosiły śladów przenoszenia (przynajmniej w dłuższy czas po śmierci), a czas zgonu ustalono w okolicach godziny zero. Zupełnie jak w tandetnym kryminale: śmierć o północy.

Chyba dlatego, że otarłem się kiedyś o tak zwane środowisko, mój szef, major Janisz, właśnie o mnie sobie pomyślał, kiedy przeczytał dostarczony mu z rana meldunek. W rezultacie oderwano mnie gdzieś około jedenastej od jakiejś fascynującej czynności urzędniczej i kazano zameldować się u zwierzchnika.

Na szczęście Janisz był rozsądnym facetem, niewolnym wprawdzie od skłonności moralizatorskich, ale za to zupełnie pozbawionym urzędniczej pedanterii. Nie musiałem więc oglądać paznokci, czesać się starannie ani zakładać trzymanej w szafie „na wszelki wypadek” marynarki. Przeszedłem przez sekretariat, zapukałem i wszedłem. Zapach czerwonej amphory sprawił mi jak zwykle przyjemność.

Chciałem zameldować się regulaminowo, ale on tylko niedbałym gestem wskazał mi krzesło.

— Czy nie chcielibyście, Ryski — zaczął — przypomnieć sobie, jak wygląda Krakowskie Przedmieście w okolicach takiej dużej bramy z numerami 26/28? Oczywiście wliczam w to i okolice: „Harendę”, Związek Literatów...

— Z przyjemnością — powiedziałem tak szczerze, jak tylko umiałem. — A co się stało? Czyżby jakiś doprowadzony do rozpacz polonista udusił lektorkę języka starocerkiewno-słowiańskiego? A może kogoś od gramatyki historycznej poczęstowano hot dogiem, w którym znaleziono potem...

— Spokojnie, Artysta — major sięgnął po ubijak do tytoniu — bez dowcipasów. Nie musicie się tak odgrywać za wasze niepowodzenia na uczelni, spowodowane, jak znam życie, wrodzonym lenistwem i nadmierną sympatią do warszawskiego pełnego jasnego. Jest na pewno lepsze niż wykłady z gramatyki...

— Dużo lepsze, obywatelu majorze. Nawet grodziskie jest lepsze. A co do lenistwa — to nieprawda. Nie boję się pracy. Lubię ją. Muszę tylko wierzyć w cel i sens.

Patrzył na mnie przez chwilę zza cienkiej smużki dymu z fajki.

— To, co wam chcę zlecić, ma niewątpliwie cel i sens. Nie tylko dlatego, że chodzi o prz e s t ę p s t w o g ł ó w n e , ale też ze względu na to, że ofiarę powinniście — a przynajmniej mogliście — znać...

Przyznam, że w tym momencie nie byłem pewien, czy dobrze słyszałem. Szczególnie zwrot „przestępstwo główne” — ulubiony zwrot Janisza w odniesieniu do morderstwa — budził moje wątpliwości. Janisz chce mi dać prowadzić sprawę zabójstwa? Eee, chyba tylko jako pomocnikowi. Ciekawe, kto będzie kierował całością.

— Mam pytanie, obywatelu majorze. Kto będzie kierował całością?

— Nie udawajcie Greka, Artysta. Gdybym miał ją dać komuś innemu, nie wzywałbym was do siebie...

Nadal nie mogłem uwierzyć. Tyle że chyba trochę z tą niewiarą przesadziłem. Janisz rzucił mi krótkie, nieprzyjemne spojrzenie. Poczulem, że się czerwienię.

— Daję wam tę sprawę właśnie dlatego, że lubicie i umiecie uprawiać różne gaduchy z ludźmi podobnego wam pokroju. A to się może w tej sprawie przydać. Czy mówi wam coś nazwisko Niewczas?

I tak znalazłem się w mieszkaniu, gdzie ktoś strzałem z pistoletu pozbawił życia Pawła Niewczas. Zaczęło się więc... Pierwsza poważna sprawa... Już widziałem miny innych pracowników wydziału, jak wymieniali po kątach uwagi na temat: wysypie się od razu czy dopiero po długich i ciężkich cierpieniach? Prześladowała mnie bowiem opinia „artysty”, czyli człowieka może i zdolnego, ale zupełnie nieodpowiedzialnego, idącego na żywioł. Wiele mam tu do zawdzięczenia przeciekom z kadr, gdzie czarno na białym wypisane było w ankiecie, że po polonistycznych studiach przez dwa lata wytarłem krzesła w trzech redakcjach, że to i owo w tym czasie opublikowałem. Wyszperano też wiele innych ciekawych szczegółów mojej „kariery literackiej”, co nie ułatwiało mi bynajmniej życia.

Człowiek, któremu zawdzięczałem swą obecną posadę, też nie należał, zdaje się, do dyskretnych. Tylko od niego mogła pochodzić wiadomość, że kiedyś, robiąc tuzinkowy reportaż kryminalny, zadałem — w związku z lekturą akt pewnej nie zamkniętej jeszcze sprawy — kilka pytań oficerowi, który tę sprawę prowadził. To, że będąc w jego śledztwo zupełnie osobiście nie zaangażowany, skojarzyłem fakty, których on — będąc w sprawę zaangażowany zbyt mocno — skojarzyć nie potrafił, spowodowało, że zaczęliśmy się spotykać na gruncie prywatnym. Po jakimś czasie facet rozgryzł, co we mnie siedzi, mój pancierz nigdy nie

był zbyt szczelny, a on był w końcu niemal zawodowym „spowiednikiem”. Zorientował się szybko, że szukam jakiegokolwiek pomysłu na życie. Prawie bez ryzyka odmowy zaproponował mi pracę w „policji”.

Moment był wyjątkowo sprzyjający. Byłem bowiem na etapie dochodzenia do wniosku, że dobrym krytykiem literackim to ja już z pewnością nie zostanę. Oczywiście mógłbym całe życie pisać średnio dobre recenzje o średnio dobrych książkach, pozostawiało to jednak we mnie coraz głębszy niesmak.

Z początku odrzuciłem jego propozycję nawet z oburzeniem, źle maskowanym dowcipkami, tyradami o tym, co sędzę o nim i jego pomysły ja, humanista po uniwersytecie, obcujać na co dzień z wolnością myśli, ze sztuką, pełen wstrętu do wszelkiej instytucji kłępującej życie jednostki, instytucji, w której nieufność i podejrzliwość wpisane są w krąg zasad podstawowych. „Do wyższych rzeczy jestem stworzony!” — wykrzykiwałem niemal na całe gardło. Ale to nie był facet, który mógł mieć tego typu problemy z ludźmi podobnymi do mnie. W ciągu jednej rozmowy wykazał mi dowodnie, że mam jedynie ambicje i dobre chęci, że jestem nie douczony, ba, że wręcz nie wierzę w to, co wypisuję na swoich sztandarach. Był bezlitosny, ale... miał rację. Gdy to zrozumiałem, przyjąłem jego propozycję. Wydała mi się szansą, która się nie powtórzy.

— Jak to się właściwie stało, że tak szybko odkryto zbrodnię? — zwróciłem się do Rysia Żaka, swego kolegi z komendy stołecznej, który miał akurat dyżur i przyjął doniesienie, a także wraz z ekipą pierwszy przybył do mieszkania Niewczasa. — Przecież z pozoru nic nie wskazywało na tragedię... Nie czuć gazu, z braku wcześniejszych meldunków wnoszę, że nikt nie słyszał strzału... Przecież facet mógł zwyczajnie wyjść z domu, wyjechać, zabalować u dziewczyny...

— Chodź ze mną — poprowadził mnie do przedpokoju, a następnie na klatkę schodową, zamykając drzwi. — Zajrzyj — powiedział, wskazując dziurkę od klucza.

Zajrzałem. W jasnej plamie światła, w jej górnej części, widać było wyraźnie wyzierającą zza futryny nogę, obutą w brązowy, sztruksowy pantofel.

— No tak — wyprostowałem się. Otwierając drzwi, wpuściłem go przed sobą. — Ale to znaczy, że ktoś go musiał cholernie potrzebować, skoro aż zaglądał przez dziurkę. Bo wyobraź sobie, że się ze mną umówiłeś. Czekasz, mnie nie ma...

— Masz rację. Chybabym po prostu pomyślał, że coś ci wypadło i zwinąłbym żagle. Na Niewczasa rzeczywiście czekali. I to czekali z niecierpliwością...

— Czy mógłbyś nieco jaśniej?

— A czy mógłbyś mnie w końcu posłuchać? Mam dziś dyżur i powinienem już wracać, zrobiłem, co do mnie należy, sprawę prowadzisz ty. Więc znajdź dla mnie chwilę czasu, jeżeli w ogóle chcesz ruszyć z miejsca...

Nawet się nie obraziłem. Traktował mnie tak jak wszyscy, no, może z żywszą nieco niechęcią, ale robił to przynajmniej jawnie. Był poprawny, czasem znieczepliwiony. To wszystko. Wolę to niż szeptankę za plecami.

— Dobra. Siadajmy — powiedziałem, wskazując ręką drewnianą ławę, z której technicy zebrali już materiał daktyloskopijny.

Usiedliśmy, wyjął papierosy, a gdy odmówiłem, zapalił sam i zaczął:

— Krótko, bo sprawa jest prosta: Nie-wczas był umówiony na dziewiątą rano w redakcji „Nowin Wydawniczych”. Od dawna obiecywał bomba materiał, więc zarezerwowano mu podobno miejsce w najbliż-

szym numerze. Dostarczenie tekstu na dziewiątą było warunkiem, że pójdzie on natychmiast. Rozumiesz? Czekali tylko na niego. Jasne?

— Mów dalej.

— Wiedzieli, że nie nawali, bo to był podobno jeden z tych, którzy robotę traktują serio. Więc jak go do dziesiątej nie było, to ta babka, która miała odebrać tekst, wzięła redakcyjny samochód i pojechała na Nowowiejską.

— Tu jest telefon — zauważyłem. Irytował mnie chaos jego opowieści. Jeżeli chodzi o szczegóły, to ona podobno dwadzieścia trzy razy patrzyła przez tę godziną na zegarek,.. Człowieku, myśl trochę. To chyba oczywiste, że wydzwaniała do niego jak głupia i jeżeli w końcu zdecydowała się jechać, to widać uznała, że nie ma innego wyjścia. Jasne?

— Mów. Po prostu mów. Nie przejmuj się.

— Więc przyjechała z nadzieją, że może gość jest w domu, wspięła się na to trzecie piętro i dawaj łomotać. Bez skutku. I wtedy, widzisz, właśnie wtedy, chwytając się — jak w tartaku — ostatniej deski ratunku, zajrzała przez dziurkę od klucza. Jej b a r d z o zależało, żeby mieć ten materiał. Więc zajrzała.

Liczył zapewne, że jakoś jego wywody skomentuję, ale ja milczałem, czekając na dalszy ciąg.

— Taaaak... No więc jeżeli w miarę szybko się uwiniesz — podjął po chwili — rozpoznasz środowisko i zakreślisz jaki taki krąg podejrzanych...

Perorował, radził, pouczał mnie jak sztubaka. Miał większe doświadczenie, ale efekty — cieniutkie. Nie uchodził za asa śledczego. Jego sposób mówienia był do tego tak irytujący, że po chwili przestałem go słuchać. Wyłączyłem się. Nie lubię, gdy ktoś ma mnie za idiotę.

Popatrzył po pewnym czasie jakoś z boku, wyraźnie niechętnie. Widać wyczuł, że mówi do siebie. Stał się lakoniczny.

— Zostawiam ci kaprała z mojej ekipy. U niego znajdziesz wszystkie potrzebne dane. I mówię ci, Artysta, nie spekuluj za dużo. Sprawa jest banalna. Wywiad środowiskowy da ci wszystko, czego potrzebujesz. Uwiń się szybko, to pójdziesz w górę. Nawet ci trochę zazdrozczę. Drugiej takiej szansy nie będzie. Za żadne pieniądze.

Wyszedł skinąwszy niedbale ręką. Dłuższą chwilę stałem jeszcze bez ruchu, myśląc o tym, jak to się stało, że strzału oddanego w tym pokoju o północy nie słyszał nikt.

## Dla wszystkich jedna miarka

---

*Środa, godzina, o której wszyscy przyzwoici ludzie jedzą obiad*

Nazywał się Antoni Koliński, był po prostu cieciami, ładniej: dozorcą, jeszcze ładniej — gospodarzem domu. Eskalacja tytułów, jakiej za swego niedługiego życia byłem — w odniesieniu do cieciami — świadkiem, pozwalała mniemać, że rychło zostanie naczelnikiem posesji bądź dyrektorem zespołu mieszkalnego.

Zasługiwał na to z pewnością. Miał aparycję zdeklasowanego urzędnika magistrackiego, ubierał się z absurdalną i koszmarną elegancją, co było o tyle zabawne, że to, co miał na sobie, było obstrzępione i połatanie ponad wszelką wyobraźnię.

Koliński mieszkał na tym samym piętrze, co Niewczas. Również i to było zadziwiające, bo wedle moich — zapewne niesłusznych — oczekiwań dozorca powinien mieszkać gdzieś w pobliżu bramy, by ją w odpowiednim czasie zamykać, gonić pijaczków załatwiających się tam z nadmiarem wypitego piwa lub nieświeżym bigosem popularnym, wreszcie by wiedzieć mniej więcej, kto i do kogo wchodzi w godzinach nietypowych towarzysko, to znaczy w nocy.

Próżno jednak oczekiwałem w tej sprawie jakichkolwiek wyjaśnień. Koliński obrzucił mnie w drzwiach niechętnym spojrzeniem, a gdy nie udało mu się mnie spławić stwierdzeniem, że „za mały kwadransik będzie mi uprzejmie służyć”, wpuścił mnie bez słowa do pokoju, sam zaś zajął miejsce za stołem, na którym stał talerz z rozgrzebanym obiadem. Zabrał się następnie do jedzenia i sprawiał wrażenie kogoś, kto odebrał przed chwilą pomyłkowy telefon i musiał przez to wstać z łóżka w środku nocy. Na podejmowane przeze mnie kilkakrotne próby wciągnięcia go w rozmowę nie reagował zupełnie, przeżuwał statecznie.

W końcu postanowiłem, że porozmawiam z nim językiem, który był dla niego zapewne bardziej swojski niż nieśmiałe nagabywania.

— Dość tego, panie Koliński! — gwałtownie podniosłem głos — Pan sobie ze mnie robi jaja, a ja tego nie lubię! Odstaw pan ten talerz, bo zmienimy lokal, a pan co nieco obkoczysz za lekceważenie i obrazę funkcjonariusza państwowego na służbie!

— Moment, kogo ja obrażam? — zdziwił się prawie szczerze. Mówił z pełnymi ustami, co irytowało mnie ponad miarę.

Podszedłem do stołu i zabrałem mu talerz sprzed nosa. Już chciał gromko zaprotestować, ale uprzedziłem go, mówiąc cicho, głosem drżącym z wściekłości:

— Pan zdaje się nie zna tej starej prawdy, że policjant ma zawsze rację, nawet wtedy, gdy jej nie ma. Zabieraj się pan, pojedziemy do stołecznej. Tam pan z pewnością będzie rozmowniejszy. A co do tego, czy pan obraża, czy nie, zapewniam pana, że jak dobrze poszukam, to zawsze jakieś dowody znajdę...

Trafiło. Trochę się jeszcze co prawda odgryzał, ale zaczął mówić, a o to mi tylko chodziło.

— Pan porucznik kawaler? — zapytał.

— A bo co? Chciałby się pan poskarżyć mojej żonie?

— Od razu widać — gwałtownie wyprostował się na krześle, wygładzając wyświecone klapy marynarki. — Nie widzi pan, że przyszedł pan akurat w obiad? Cholernie nie lubię, jak mi się w tym momencie przeszkadza. Nie odłożę tego dla niczego w świecie. A zresztą co, pali się? Przecież o n i tak panu nie ucieknie, prawda?

— To nie pańska sprawa, panie Koliński. A czas nigdy nie jest bez znaczenia. Czyba że chodzi o obiad. Już dawno nie jadłem dwa razy z rzędu o tej samej porze i jakoś żyję...



— Do czasu... — rzucił półgłosem.

— Dość!!! — chciałem wreszcie przejść do rzeczy. — Pan też nie jest, mam nadzieję, nieśmiertelny. O której pan wczoraj zamknął bramę?

Popatrzył na mnie jak na wariata.

— Ja? Bramę?

— Nie zamyka się jej?

— Kiedyś się zamykało. Teraz nie.

— Dlaczego?

— A po co zamykać, jak do kamienicy można się dostać przez sąsiednie podwórko? Włazisz pan na śmietnik, skaczesz przez taki murek i już pan jesteś. Jak tu nastalem, ten mur był posypany tłuczonymi butelkami i jeszcze miał drut kolczasty... Ale chłopaczki drut zerwały, szkło się wykruszyło i teraz idzie się tamtędy jak do swego.

— A bramy prowadzącej na tamto, sąsiednie podwórko też się nie zamyka?

— Też nie. Tamten dozorca dorobił i rozdał lokatorom klucze. Ludzie klucze pogubili, a on się odzwyczaił od wyłączenia po nocy z pościeli...

— Przecież ludzie za to zwykle dozorczy płacą, czasem nawet sporo. Wam na tym nie zależy?

— Wie pan co, pieniądze to ja mam. A jak mi czego brak, to raczej świętego spokoju. Nie lubię się szarpać!

Spróbowałem sobie policzyć, od ilu ludzi różnych profesji słyszałem podobne stwierdzenie w ciągu ostatniego miesiąca, ale zaraz dałem temu spokój i spytałem:

— Gdzie pan był wczoraj wieczorem?

— W domu. Telewizję oglądałem. Potem poszedłem normalnie spać. Nie lubię się włóczyć po kątach.

— Paweł Niewczas, pański sąsiad, został zastrzelony wczoraj na krótko przed północą. Słyszał pan coś, co może mieć z tym jakiś związek? Pistolet, jak pan wie, robi trochę huk...

— ...jeżeli jest cicho — wpadł mi w słowa. — Ale jak ktoś po kilka razy w miesiącu urządza libacje, połączone z jakimiś diabelskimi wrzaskami, śpiewami i muzyką na cały regulator, to strzał jest przy tym bułką z masłem. U tego Niewczasu można by nieraz i z armaty strzelać i nikt by nie usłyszał. Ale to się musiało tak skończyć...

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— A to, że to wszystko degeneraci jacyś i pomylenicy byli! Różnych się ludzi w życiu widuje, ale żeby, panie, w domu godzinami chóralnie wycić i wygrywać na gitarze? Żeby spraszać i poić wódka tłumy z prośbami dziwek i takich, co to ledwo do ludzi podobni? Żeby siedzieć w ciemności albo przy świecach, jak w dziadowskim przytułku, żeby wychodzić skoro świt na ulicę i rechotać na pół miasta...

— Niewczas był żonaty?

— Gdzie tam, panie... — skrzywił się z niesmakiem.

—To dlaczego nie mogły u niego bywać kobiety?

—Kobiety? Nie nadużywaj pan słów. Co to za kobiety, co do samotnego przychodzą!

—Wic pan, żeby się ożenić, to jedną czy drugą trzeba przyjąć na osobności, zobaczyć, co jest grane... Miał je brać w ciemno? U pana żona nigdy przed ślubem nie była? Nie zapraszał jej pan?

—Wypraszam sobie! — poprawił wystrzępione mankiety koszuli. — Do panny chodziłem tylko w niedzielę na obiad rodzinny, i to nie za często. Ale tam nikt nie wył na cały głos. A żeby kobieta przychodziła po nocach?

—Uważa pan, że w dzień nie można grzeszyć? Zapewniam pana, że można. To nawet jeszcze bardziej pikantne. Wszystko widać...

—Pan nic ma moralności! Pan nie powinien sprawować władzy! — Koliński zapienił się z oburzenia. — Przecież ten Niewczas miał nawet *ciś*... na mój rozum... niby narzeczoną. A to mu wcale nie przeszkadzało w tych orgiach...

—Dobra, panie Koliński, widocznie narzeczonej to też nie przeszkadzało. Co pan może o tej dziewczynie powiedzieć? Często ją pan widywał?

—Za bardzo ciekawy takich to ja nie jestem. Ale po kilka razy w tygodniu przychodziła. A ze dwa razy to ją nawet w telewizji pokazali, że niby w filmie czy w czymś takim grała... Zresztą, panie, pan ma świętą rację, że jej te bale nie przeszkadzały. Ona pewnie taka sama...

—To znaczy — jaka?

—Co pan porucznik, naiwnego udaje? Wystarczyło zobaczyć, jak chodziła ubrana. Żaden porządny człowiek tak się nie zerznie. Panie, jakieś sieci na sobie miała, przez które... no, wie pan... Albo przylatywała goła, w jakichś prześcieradłach i cudactwach na głowie. Od razu widać, co to za typ! Z telewizji, cholera!...

—Pan naprawdę uważa, że ubranie cokolwiek zmienia? Nigdy pan nie widział prawdziwej szui, ubranej jak z igły?

Zamilkł, Czas jakiś patrzył na mnie, wykonując zapewne najbardziej skomplikowaną pracę myślową w swoim dość długim życiu. Wreszcie powiedział:

—Panie, po co pan to mówi? Wariata chce pan ze mnie zrobić? Życia na stare lata uczyć?

—Nie mam zamiaru niczego pana uczyć. Potrzebuję informacji, a pan mnie raczy niewybrednymi plotkami i ocenia ludzi według tego, co na sobie noszą. Chce pan wszystko mierzyć jedną miarką!

—Żeby można było normalnie żyć. potrzebna jest jakaś jedna miara dla wszystkich — zadeklamował. Zastanowiłem się. „Ty możesz mieć w tym momencie rację” — pomyślałem. Ale to przecież nie takie proste.

—I uważa pan, że powinna to być miarka, powstała z równania w dół? Do szarzyzny? Nic ciekawiej, nic po swojemu? Nie chciałbym żyć w pańskim świecie, panie Koliński.

Zamyślił się, ale chyba nie o tym, co powiedziałem, bo wyraz twarzy prawie mu się nie zmienił. Postanowiłem z tym skończyć.

— Nie odpowiedział mi pan na moje wcześniejsze pytanie: czy późnym wieczorem nie słyszał pan w mieszkaniu Niewczasa żadnych odgłosów walki, żadnego łomotu, czegoś takiego?

Ocknął się i po chwili zastanowienia powiedział:

— To był chyba dla sąsiada sądny dzień, panie poruczniku. Raz po raz wybuchały tam wczoraj kłótnie. Przychodzili jacyś i po awanturach wychodzili. On się wściekał, bo widać miał robotę, pisał, wie pan, na maszynie, i ci różni widocznie mu przeszkadzali. Drzwi trzaskały chyba z pięć razy, ale to tak na cały dom... Z jednym to się tak awanturowali, tak darli, że strach było słuchać. Tylko czekałem, czy się czasem nie pobiją...

— Widział pan może kogoś z tych ludzi?

— Właśnie jak wychodził ten piekielnik, to wyrzałem przez judasza...

— Może pan go opisać?

— Panie, takiego wystarczy raz zobaczyć... Drab ze dwa metry, zwały, z brodą na pół gęby... Jaskiniowiec, panie... Formalnie jaskiniowiec...

— O której wyszedł?

— Dokładnie nie wiem, ale było dobrze po dziesiątej. Ciszę nocną krzykiem zakłócił. Ale okazało się — nie on jeden. Potem też było niezłe... Ale już nikogo nie widziałem.

— Kiedy się to wszystko skończyło? Czy może pan to w miarę dokładnie określić?

Znowu chwilę się zastanawiał, po czym powiedział trochę zmienionym głosem:

— To chyba mogło być tylko wtedy, jak to radio...

— Jakie radio?! — krzyknąłem. Facet zaczynał nareszcie mówić o czymś ważnym i nie potrafiłem się opanować.

— Było dokładnie siedemnaście po dwunastej... W nocy, znaczy się... Przez jakiś czas u Niewczasa było cicho, stukala tylko maszyna do pisania... I w pewnym momencie coś jak nie ryknie... Poderwałem się z łóżka, słucham — ktoś rozkręcił radio na cały regulator. Akurat była jakaś wściekła muzyka, jak to teraz bywa w nocy, widać tym w radio coś się poje...eeee... pokręciło, bo żeby po nocy takie coś puszczać... więc jak ta kołysanka ryknęła, patrzę na zegarek — prawie dwadzieścia po... Myślę: oho, zaczęło się u sąsiada, i to na ostro,.. Czekałem chwilę, bo może to niechący... po pijanemu... Potem załomotałem pięścią w ścianę. Nic. Więc już się wybierałem, żeby tam iść i gościa op... tego... I wtedy ucichło, panie...

— Zgasili radio?

— Nie, radio grało, ale cicho. To wróciłem do łóżka... I to może właśnie wtedy...

Poczułem, jak wiotczeję. Tyle czasu... Wstałem bez słowa i skierowałem się do drzwi. Ale Koliński miał teraz swój dobry kwadrans.

— Wie pan, ta jego... ta... narzeczona, ona ma na imię Iwona, słyszałem, jak do niej mówił... więc ona była u niego wczoraj późnym wieczorem. Znowu było piekło, mówiłem panu, tam wczoraj kilka razy... ale jak ona wyszła, to on jeszcze żył, pisał na maszynie...

— O której wyszła?

— Tak dokładnie nie wiem, chyba już po jedenastej... A w ogóle to powiem panu...

Łagodna, spokojna, biała furia powoli podchodziła mi pod gardło.

— ...że z nimi... to znaczy między nimi nie było chyba ostatnio najlepiej. Ludzie to mają w oczach... Wyglądało tak, jakby... no, jakby pieniądze i stosunki Niewczasa już ją nie obchodziły... że to dla niej za mało... I na mój rozum to się tego by już nic dało zmienić... Za żadne pieniądze...

Nie docenił mnie od początku. Potrafiłem zachować się jak przyzwoity człowiek, O czym fakt, że zamknąłem drzwi niemal bezszelestnie, świadczył chyba najlepiej.

## Spekulacje

---

*Środa, późnym popołudniem*

Zostawiłem Kolińskiego jego refleksjom i wróciłem do mieszkania Niewczasa, Zatelefonowałem do Pałacu Mostowskich i poprosiłem o możliwie szybkie zebranie i przekazanie mi podstawowych informacji o Iwonie, a nawet — jeśli się znajdzie — o przyprowadzenie jej na Nowowiejską. Była piąta po południu, ale choć pozwijały o tej porze żagle wszelkie tak

zwane normalne instytucje i biura, funkcjonowały przecież — a na dobrą sprawę zaczynały właśnie funkcjonować — placówki, gdzie o informacje było nawet łatwiej: wszelkie kluby środowiskowe w stylu „Dziennikarzy”, „SPATIF-u” „SARP-u” i inne lokale, dające owemu środowisku złudzenie intymności, odcięcia się od molocha ciekawskich, snobów, mitomanów — słowem ludzi robiących na co dzień „przy sztuce”. Ze owo złudzenie azylu było tylko złudzeniem, dowodzić nie trzeba. Sam za swoich studenckich czasów wytarłem we wszystkich tych lokalach stołki dość dokładnie, uważając się — jak gros ludzi z mojej paczki — za już prawie nobilitowanego, za Kogoś, za posiadacza buławy w wojskowej, brezentowej raportówce, którą nosiłem ze sobą na uczelnię (a która spełniała wszelkie użyteczne funkcje: od uczniowskiego tornistra po pojemnik na sześć butelek piwa, trzy półlitrowki lub — w przystępach ułańskiej fantazji bądź okresach braku pieniędzy — dwóch tak zwanych win marki „wino”, czyli popularnych bełtów). Wiedziałem więc, że wstęp do takiego zamkniętego lokalu jest właściwie wolny, no, w najgorszym razie możliwy po elementarnych pertraktacjach finansowych z cerberem przy wejściu, że tam właśnie, gdzie ludzie znani sycili się kameralnością i swobodą bycia, wylęgały się plotki, brały początek skandale lub skandaliki, urabiające środowisku opinię na mieście. Słowem miałem pewność, że właśnie tam wywiadowcy, penetrujący z obowiązku świat artystyczny bohemy Warszawy, dowiedzą się najpewniej czegoś bliższego o dziewczynie Pawła.

Powiedziałem, gdzie jestem, zostawiłem numer telefonu. Następnie poprosiłem o połączenie ze „starym”. Janisza nie było już jednak w komendzie, co wystawiało mu dobre świadectwo. "Nie był szefem powieściowym, przesiadującym w biurze do północy, a po powrocie do domu kłócącym się z żoną, oskarżającą go o jej osobistą i towarzyską marnację i powolne rujnowanie domowego ogniska ku chwale ojczyzny. Janisz wykorzystywał też perfidnie wszystkie urlopy wypoczynkowe, przyprawiając tym z pewnością o zgrozę autorów rodzimych powieści kryminalnych. To nie był właściwy wzór osobowy!

Nie udało mi się jednak uniknąć innej wersji schematu powieściowego. Zakłóciłem bowiem szefowi wypoczynek, dzwoniąc pod jego prywatny numer. Gdy się zgłosił, poinformowałem go o swoich pierwszych ustaleniach i posunięciach. Zaakceptował uruchomienie wywiadowców w celu odnalezienia Iwony, pochwalił mnie nawet, że raczej przejawiam inicjatywę, niż bawię się w detektywa — samotnika, byłby bowiem skłonny podejrzewać, że wyruszę osobiście szukać dziewczyny denata po wymienionych „SARP-ach” i „SPATIF-ach”, zawadzając wszędzie o bary, spotykając znajomych, dzieląc się najnowszymi plotkami o znajomych znajomych i nie odmawiając fundatorom. Gdybym tak zrobił, zauważył, prosta czynność odszukania Iwony mogłaby się mocno wydłużyć w czasie, opóźnić postępy śledztwa, a tego on, Janisz, bardzo by sobie nie życzył.

Wyposażony w błogosławieństwo szefa zwoleńcem wierzającego się na krześle kaprała, przydzielonego mi do pomocy, polecając mu rozpoznać, czy flaki w barze „Flis” paskudzone są bardzo czy w miarę i wreszcie pozostałem sam. Sam na miejscu zbrodni.

Mieszkanie składało się ze średniej wielkości pokoju — zarazem gabinetu do pracy, sypialni, salonu i Bóg wie czego jeszcze — oraz więcej niż średniej wielkości kuchni, wyposażonej we wszystko, czego potrzebować może ktoś, kto nie chcąc ruszać się z domu będzie szykował sobie to, na co przyjdzie mu ochota, z frytkami i szaszłykami włącznie. Utrzymany wszędzie porządek nie miał cech pedanterii, był jednak rzetelny, świadczył, że lokator mieszkania zna cenę, jaką płaci się za szukanie wszystkiego, co akurat potrzebne, a także wartość własnych nerwów, traconych systematycznie w bajzlu, w którym każda rzecz jest co dzień w innym miejscu.

Wygląd mieszkania wskazywał także, że praca zajmowała w życiu Pawła miejsce naczelne. Dwie i pół z czterech ścian tego niezbyt wielkiego w końcu pokoju zapełniały sięgające nieomal sufitu półki pełne książek, za które nawet polonistyczna biblioteka na uniwerku zapłaciłaby chętnie duże pieniądze, gdyby je miała. Trochę z zawiścią, a trochę z uczuciem moralnego kaca przesuwałem palcami po grzbietach upchanych ciasno książek. Oczy raz po raz rejestrowały ten i ów tytuł, daremnie poszukiwany kiedyś w księgarniach. Uświadomiłem sobie w pewnej chwili, jak i mnie to wszystko było kiedyś bliskie, choć to jednak chyba nieprawda, bo gdyby rzeczywiście było, nie stałbym dziś przy tych regałach z legitymacją młodszego oficera milicji w kieszeni, a moja więź z Pawłem Niewczasem nie sprowadzałyby się do prostej relacji ofiary i ścigającego jej zabójcę gliniarza.

Od tych niewczesnych narowów (mogłem już, cholera, tak o sobie mówić!) głowa rozboleła mnie niewąsko. Przysiadłem na Pawiowym tapczanie, oparłem się plecami o ścianę i w tej niezbyt wygodnej pozycji przymknąłem oczy, masując energicznie skronie. Zabójstwo Pawła wydało mi się czymś zupełnie bez sensu. Byłem przekonany, że żadne typowe motywy, dla których bliźni wykańczają się nawzajem, nie mogły tu raczej wchodzić w grę. Byłem pewien, że Niewczas nie był typem faceta handlującego dolarami na wielką skalę, że nie maczał palców w matactwach gospodarczych, nie mógł też — z racji specyfiki kręgów, w jakich się obracał — odkryć nowej, groźnej w skutkach afery wywozu naszych dzieł sztuki do Wiednia. Nie mógł także — a to z racji wieku — rozpoznać w prominencie naszego handlu zagranicznego eks - kolaboranta, esesmana, gestapowca czy innej swołoczy, ukrywającej się przed karzącym ramieniem sprawiedliwości.

Co natomiast Niewczas mógł? Mógł zobaczyć wypadek samochodowy, którego sprawca zbiegł, nie udzieliwszy pomocy ofiarom. Mógł, wracając późno do domu, nakryć pijaczków, włamujących się do kiosku „Ruchu”, by wynieść stamtąd kilkanaście pudełek pasty do prania „Komfort” czy większą ilość smakowitej wody brzozonej. Narkotyki? Kto wie, choć Paweł zawsze się szanował, cenił własne zdolności, własną wiedzę i sprawność intelektualną, wreszcie własne zdrowie. Wychowano go w szacunku dla tego wszystkiego i chyba się nie umiał tak głupio po trochu wykańczać. Co więcej? Nic. Nic i jeszcze raz nic. Cokolwiek z repertuaru polskiego półświatka przychodziło mi do głowy, wydawało się od razu absurdalne. To

był inny człowiek. Nie kombinował, nie chciał się chyba budować z kradzionych materiałów — więc co? Co jeszcze Niewczas mógł zrobić? Komu i czym się narazić?

Oczywiście. Paweł Niewczas mógł się narazić na czyjąś nienawiść. W świecie drobnych grafomanów, cwaniaczków aspirujących do zaszczytów, wysokich nakładów i tantiem o coś takiego jak nienawiść było zawsze łatwo. Zgoda więc — nienawidzić go mógł niejeden. Ale to wszystko teoria. Nikt jeszcze nikogo nie zabił z powodu kilku słów prawdy na łamach gazety. Nienawiść, której wynikiem była śmierć Pawła Niewczas, to musiała być namiętność silna, dojrzewająca z upływem czasu. Jej źródłem nie mógł być najbardziej nawet napastliwy artykuł krytyczny. Co to kogo dzisiaj obchodzi! Co kto robi sobie z najsilniej nawet smagającej krytyki? Znałem tę sprawę zupełnie skądinąd, ale wnioski nasuwały się podobne...

Nie było mi jednak dane zastanawiać się nad tym dłużej, bo właśnie rozległ się dzwonek u drzwi. Poszedłem otworzyć. Na progu stały trzy osoby, z których jedną — uświadomiłem to sobie natychmiast! — znałem dobrze, choć tylko z widzenia. I jeżeli to właśnie była...

— Obywatelu poruczniku, sierżant Jaskuła melduje doprowadzenie poszukiwanej Iwony Bogusz — zameldował krótko jeden z mężczyzn towarzyszących dziewczynie.

## Powiem ci prawdę...

---

*Środa, wieczorem*

— Co tu jest grane!! Co się tu, do cholery, dzieje?! — napadła na mnie z furją, gdy tylko za wywiadownicami zamknęły się drzwi. — Gdzie jest Paweł?

— Proszę się uspokoić i nie zadawać tylu pytań naraz — odparłem. — Wszystko po kolei. Najpierw pani udzieli mi kilku wyjaśnień...

— Jakich wyjaśnień?!! Z jakiej racji? Co pan tu robi? — stała na środku pokoju w szerokim rozkroku, pozornie spokojna, tylko kąciki ust drżały jej z hamowanej wściekłości i oczy lśniły niepokojąco.

— Proszę usiąść — wskazałem jej tapczan. Sam zająłem miejsce przy biurku Niewczas.

Mój chłód zdawał się rozsierdzać ją jeszcze bardziej. Doszła widać jednak do rozsądnego wniosku, że krzykiem wiele nie wskóra. Zajęła wskazane przeze mnie miejsce, z głębi wielkiego, skórzanego worka, używanego w charakterze torby, wygrzebała papierosy, zapaliła. Kilka razy zaciągnęła się tak, że na sam widok poczułem drapanie w gardle. Po chwili odezwała się już spokojniej:

— Więc? Co pan do mnie ma? Gdzie jest właściciel tego mieszkania i co pan tu robi?

— Pani jest Iwoną Bogusz, narzeczoną Pawła Niewczas?

— Już pan to, zdaje się, słyszał od swego pomagiera...

— Chcę to usłyszeć od pani.

Znieruchomiała na chwilę i pomyślałem, że zbliża się kolejny atak furii. Ale pomyliłem się.

— Zgadza się. Nazywam się Iwona Bogusz, jestem... z n a j o m ą Pawła. Nie lubię tego kretyńskiego słowa „narzeczona”. Zresztą nie poprosił mnie jeszcze o rękę i nie dbam o to, czy to zrobi...

— Raczej już nie.

— Nie twoja sprawa... — zaczęła arogancko, ale natychmiast urwała. Coś jej się, widać, zaczęło kojarzyć. — Już nie?... Zaraz... Przecież pan jest... — zerwała się z miejsca. — Czy Pawłowi coś się stało?!

— Proszę usiąść — powiedziałem. — To, co mam do powiedzenia, nie jest łatwe... Wczoraj, krótko po północy, Nie-wczas został zastrzelony w tym pokoju przez nieznanego sprawcę. Ja zaś jestem tu właśnie po to, by tego sprawcę odnaleźć.

Zdawało się, że nie dosłyszała.

— Co?! Co ty pieprzysz, człowieku? Paweł zastrzelony? Paweł Niewczas??!! To jakaś brednia — wstała, znów opadła na tapczan, chwyciła się za głowę i mocno ścisnęła rękoma. Nogą przysunęła sobie swój worek, wygrzebała zeń opróżnioną do połowy butelkę krakusa, niecierpliwie zerwała zakrętkę i upiła dwa dobre łyki. Rzuciło ją lekko, wstrząsnęła się, byle jak zamknęła flaszkę i wrzuciła do torby.

Obserwowałem ją pozornie spokojnie, wewnątrz jednak telepało mną od dłuższej chwili. Znałem kiedyś wiele takich dziewczyn...

Iwona tymczasem wracała pomału do siebie. Drażący kac ustępował z wolna świeżemu oszołomieniu alkoholem.

— Więc coś ty, poruczniku, powiedział? Że ktoś zabił Pawła? Trochę wczoraj wypiałam, mało spałam i chyba mi się pokręciło... Głowa mi pęka...

— Nic ci się nie pokręciło. Paweł rzeczywiście zginął wczorajszej nocy w swoim mieszkaniu. Nazywam się Ryski, jestem z milicji i prowadzę tę sprawę...

— Kurrwa... och kurrwa — powiedziała cicho. Schowała twarz między szeroko rozstawione kolana i trwała tak chwilę w bezruchu. Wreszcie podniosła głowę.

— Przepraszam — wstała z tapczana, ręką poszukała swego worka i ciężkim, zmęczonym krokiem skierowała się w stronę łazienki. Dobiegł mnie szmer leżącej wody. Czekałem.

Wyszła po kilku minutach. Wyglądała dużo lepiej, tylko uchwytna woń alkoholu wskazywała na ponowny kontakt z księciem na koniku. Przysunęła sobie do biurka wygodne, staroświeckie krzesło, usiadła naprzeciw mnie i zapaliła nowego papierosa. Paliła nerwowo, choć w gestach jej był ślad jakiejś rezygnacji. Przyglądałem jej się z uwagą i — co tu dużo mówić — z zainteresowaniem typowym chyba dla normalnego faceta w tej sytuacji.

Iwona Bogusz. Od kilku lat wszyscy reżyserzy, poszukujący do swych filmów dziewczyny młodej, utalentowanej, atrakcyjnej zewnętrznie, takiej, która mogłaby zagrać wolną od uprzedzeń, zahamowań i przesądów wszelkiego rodzaju współczesną bohaterkę, zwracali się właśnie do niej. Zadebiutowała chyba dość wcześnie, jeszcze w łódzkiej szkole filmowej, i od razu zwróciła na siebie uwagę, głównie warunkami zewnętrznymi, ale też szerokim repertuarem zupełnie niecodziennych środków aktorskiego wyrazu. To nic była poza na współczesność, to nic było granie żywiołowe — to były współczesność i żywiołowość w czystej postaci. Krytyka rozpisywała się po filmie szeroko. Większość tak zwanych fachowców twierdziła, że Iwona nie gra, że po prostu jest na ekranie. Ze gdyby musiała zagrać kogoś zupełnie innego, byłoby to widowisko żalodne.

A Iwona zagrała. W głośnych Późnych powrotach wcieliła się w postać kobiety dojrzałej, czterdziestoletniej malarki, starającej się uchwycie w swej twórczości własne przemijanie biologiczne na równi z roz-

wiewaniem się swych najbardziej intymnych złudzeń, dotyczących życia w jego zawsze banalnym, codziennym kształcie.

Coś z owej dojrzałości i owej rezygnacji znać w niej było i teraz, gdy siedziała martwo wpatrzona w siebie tylko wiadomy punkt na zmatowiałej powierzchni biurka, przy którym zginął wczorajszej nocy ktoś, z kim wiązała chyba niemałe nadzieje.

—Widzisz, tak się składa, że znałem kiedyś Pawła. Studiowaliśmy razem... — przerwałem przedłużając się, dokuczliwe milczenie.

—Ty? —uniosła głowę i patrzyła na mnie niewidzącym wzrokiem, jakby wyrwana z własnych myśli. Tylko cień lekceważenia w jej głosie wskazywał, że nie była zupełnie oderwana od sytuacji, która nas zeknęła.

—Zdarza się, że i gliniarz coś tam postudiuje.

—Pewnie, każdemu się to zdarza — w dalszym ciągu była daleka od wewnętrznej równowagi. Zastanawiałem się, czy nie przełożyć tej rozmowy na jutro. Nie miałem jednak gwarancji, że rzeczywiście do jutra wydobrzeje. Mogła przecież prosto stąd udać się do „SPATIF-u” i jutro prezentować się znacznie gorzej.

—Opowiedz mi o Pawle — poprosiłem. — To nie był facet, który mógł zginąć z byle powodu. O ile wiem, nie babrał się w zwykłych brudach...

—Babrał się w znacznie gorszych — przerwała mi. — Babrał się w czymś, w czym ty byś nie chciał. Za żadne pieniądze. Co ty zresztą możesz o tym wiedzieć! Dla ciebie brud to meliny, złodzieje, kurwy i aferyści, prymityw walący łomem lub siekierą, świat w gruncie rzeczy jednoznaczny, jeśli odrzucić jałową filozofię i tanie społecznikostwo Brud. w jakim grzebał się Paweł, to brud z pretensjami, uduchowiony od pięt po czubek głowy. To elita, szczytne idee i takie tam różne... Z wierzchu polor, szmerek wykwintnej rozmowy, spory i dysputy, a pod spodem brud! Układy, forsa, możliwości, wieńce laurowe i jedno marzenie: załapać się, uczepić pańskiej klamki...

Sięgnęła znów do worka, wydobyła flaszkę, w której została już może setka... Przełknąłem ślinę... Próbowałem Iwonę powstrzymać, ale szarpnęła się wściekła.

—Siedz tam, gdzie siedzisz, jeżeli chcesz, żebyśmy jeszcze pogadali! Jak jesteś facetem dla czegoś więcej, niż tylko dlatego, że nosisz spodnie, to chyba wiesz, co to jest kac...

Upiła niewielki łyk, zapaliła nowego papierosa.

—Jedno mnie tylko dziwi — podjęła po chwili. — że któryś z tych impotentów zdobył się na coś takiego... Że zabił... zabił jednego z nielicznych uczciwych ludzi w tym kraju. To przecież magma, skorupiaki... Rozpuścić plotki, naubliżać anonimowo przez telefon, nawet dać w mordę, gdy się nie spodziewasz... Ale zabić? Do tego trzeba charakteru...

—Albo strachu — wtrąciłem. Zastanowiła się przez chwilę.

—Masz rację, poruczniczku, albo strachu. Dużego boja. Ale to nie tu. Gdybyś wiedział, ilu Paweł przez ten czas dokopał, ilu załatwił tak, że zdawało się — koniec. Wykazał czarno na białym: ten debil, tamten oszust, jeszcze inny udawacz, przekupny... On to umiał, jego trudno było nabrać... I co? I nic. Ludzie poszumieli, środowisko miało uciechę tydzień, dwa i koniec. Po jakimś czasie okazywało się, że facet podpisał dwie umowy, zgarnął honorarium i gwizdże na wszystko koncertowo. Pamiętam jeden piękny numer z takim sławnym, uznanym, rozumiesz, poetą szczecińskim, podporą tamtejszej kultury, nagradzanym, druko-



wanym i popieranym. Złożył w jednym wydawnictwie tom wierszy — pół setki niewielkich utworów. Paweł dostał to do zaopiniowania. Maszynopis liczył coś z sześćdziesiąt stron, ale wiersze dałyby się upchnąć na dwudziestu. Po przeczytaniu całości na piętnastu stronach recenzji Niewczas wykazał wszystkie zapożyczenia, normalne złodziejstwa poetyckie, plagiaty i wskazał wszystkie te miejsca, gdzie brak było sensu, gdzie nic się z niczym nie wiązało, zwykłe efekciarstwo... modne słowa. Nawet argument, że w poezji wszystko wolno, nie mógł tu paść. Paweł posłał recenzję wydawnictwu, a po roku otrzymał od autora tych bzdur, .. ów tomik, już wydany, ładnie, na czerpanym papierze. I z dedykacją: „Hi hi hi!!!” Ładne? Albo inna historia... Znasz pewnie takiego powieściopisarza...

Wyłączyłem się. Gdyby wiedziała, co robiłem przez pierwsze kilka lat po studiach, wiedziałaby również, że ponownie odkrywa przede mną Amerykę. Sam mogłbym jej opowiedzieć kilka podobnych, interesujących historii. Każdy by mógł...

— ...więc gdzie tu miejsce na strach? Czego oni się mają bać? Co tu naprawdę można w tym rajku na ziemi? Strach jest wtedy, jak faceta za kolportaż ulotek wywalają z pracy i dają wilczy bilet, a żona jest urzędniczką na poczcie albo nauczycielką i do tego dwoje dzieci...

— Są jeszcze inne sfery życia. Praca to nie wszystko — powiedziałem. Należało wreszcie zrobić użytek z posiadanych już informacji. — Jest jeszcze tak zwana prywatność...

— No to co? — rzuciła niby od niechcienia, ale spostrzegłem, że słucha mnie teraz uważnie. — Co to ma do rzeczy?

— Jak długo znałaś Pawła?

— O co ci, inspektorku, chodzi? Mówiliśmy przecież...

— Ja tu pytam — przerwałem jej. Uważałem, że jeżeli ma coś do ukrycia, to czujność jej osłabła już wystarczająco, rozmyśla się w ogromie pretensji do świata.

— Trzy lata — odparła krótko. Zauważyłem, że drżą jej ręce. Chciała znów sięgnąć po wódkę, ale tym razem zdecydowanie jej zabroniłem. Z punktu widzenia moich interesów wypić akurat tyle, ile powinna.

— To szmat czasu... — zawiesiłem głos. — Żeby żyć razem w takim świecie trzy lata, trzeba albo wielkiej miłości...

— Kochałam go — rzuciła cicho i jakby wstydliwie.

Wiedziałem, że to powie. Mimo stanu, w jakim się znajdowała, kontrolowała jakiś przebieg naszej rozmowy. A teraz zagrała. Czyli... ciepło, ciepło...

— Więc do tego trzeba albo wielkiej miłości, albo poważnego interesu — kontynuowałem. Popatrzyła na mnie badawczo. Staralem się nic zmienić wyrazu twarzy. Roześmiała się.

— Pocieszny jesteś — powiedziała lekko. Ale zaraz ton jej stwardniał, znów była agresywna. — Jakiego interesu? O czym ty mówisz? Jaki interes można było zrobić przy Pawle?

— W końcu był kimś... — zacząłem ostrożnie.

— Może w twoim naiwnym rozumieniu Niewczas był kimś. To, że tak myślisz, wystawia ci nawet niezłe świadectwo. Tylko pamiętaj, gdzie żyjemy. Tutaj być kimś, to znaczy mieć pieniądze albo wpływy... To się zresztą łączy... Warzywa, galanteria, buda na bazarze, tunele foliowe — ci, co to mają, są w pojęciu tego społeczeństwa kimś. Oni mogą wiele rzeczy z a ł a t w i ć, oni mają d o j ś c i a, oni decydują o tylu rzeczach, dziejących się wokół nas, że głowa boli pomyśleć. Paweł miał pozycję w pewnych kręgach. Jeżeli jakoś

doceniała go tak zwana publiczność, to dlatego, że dostarczał jej zabawy, pożywki. To fajnie, jak jeden pod drugim ryje, wesoło jest, ale to nic nie znaczy i o tym wie każdy średnio inteligentny człowiek, żyjący w tym kraju. Dziś ty kopiesz, jutro kopią ciebie. Gdzie tu prestiż? Powiedziałam ci: byłam z nim, bo był uczciwy. I zauważ jeszcze jedno, poruczniku: ja też jestem k i m s . Nie muszę się nikogo łapać, żeby płynąć. Potrafię sama!

— A jednak mieliście się z Pawłem rozstać.

— Kto ci to powiedział?

— Ludzie.

— Ludzie gównem wiedzą — sięgnęła po papierosy.

— Ale sporo widzą... Reszty mogą się domyślić...

Mozna było o Kolińskim mniemać wszystko, ale obserwować to on umiał na pewno.

Intensywnie nad czymś myślała. „Próbuje wykoncypować, z kim już mogłem rozmawiać” — pomyślałem.

— Więc? — ponagliłem ją.

— Już powiedziałam, że to wszystko bzdury. Niby dlaczego Paweł miałby ode mnie odejść?

— To ja właśnie chciałbym o to spytać... Ale zgoda. Więc przypuśćmy, że mu się znudziłaś...

Chwilę siedziała bez ruchu, potem wstała. Zrobiła dwa kroki do tyłu. Jednym długim, zdecydowanym ruchem rozsunała gruby ekler, na który zapięta była jej ni to suknia, ni tunika, uszyta z miękkiej, ciemnobezowej flaneli. Między rozchylającymi się połami tej szaty zobaczyłem śniadą, połyskującą lekko skórę. Przełęcz między piersiami przechodziła w dwa koliste stoki, wskazując jasno, że piersi Iwony były krągłe, strome i dorodne. Dziewczyna wykonała drobny, ledwo dostrzegalny ruch ramionami i obie poły sukni rozchyliły się jeszcze o kilka centymetrów. Pomyślałem, że niech lepiej już więcej nie porusza ramionami.

— Tobie bym się, poruczniku, znudziła? — patrzyła mi wyzywająco w oczy.

— To się, o ile pamiętam, nazywa suknią typu „nie trać czasu”.

— Wyszkolony jesteś, obeznany! Na czym to u was wykładają, na ekonomii politycznej czy na socjologii? — spytała z mieszaniną pogardy i protekcyjności. — A może na lekcjach z wiedzy o Polsce i świecie współczesnym?

Milczałem. Nie przychodziła mi do głowy rozsądna riposta, a poza tym widok jednak robił wrażenie. Iwona o tym wiedziała i była pewna siebie, przedłużała swój triumf, robiła to jednak bez krzty kokieterii, nie przybierała żadnych póz, kusiła tylko tym, że jest.

— Zapewniam cię, poruczniku, że walory zewnętrzne to nie wszystko - machinalnym, absolutnie naturalnym ruchem dotknęła lekko swych starannie upiętych włosów, a ja powstrzymałem się z trudnością, by nie zamknąć oczu. — Technicznie też ponoć...

Trwało to dość długo i czas było spuścić kurtynę.

— Nie wysilaj się, wiem. Widziałem *Późne powroty*.

Przez długi czas po premierze filmu krążyły po Warszawie pogłoski, że wyjątkowo śmiało w tym filmie sceny erotyczne nie były reżyserowane ani markowane za pomocą stosownych tricków. Fama głosiła, że Iwona zgodziła się zagrać je na żywo.

Nie wytrzymała. Obróciła się do mnie plecami, usiadła na podłodze tam, gdzie stała i zaczęła płakać.

— Zapnij się — powiedziałem. — Skończmy rozmowę. Nie jesteśmy w „Folies- Bergere”...

Chwilę jeszcze płakała, wreszcie podniosła się z podłogi. Ekler zgrzytnął po raz drugi. Poprawiła makiąż i usiadła na swoim poprzednim miejscu.

— Kiedy i w jakich okolicznościach widziałas po raz ostatni Pawła Niewczasa? Tylko tym razem bez kabaretu...

— Dobrze — powiedziała zmienionym głosem. — Powiem ci całą prawdę, na jaką mnie stać...

— Wolałbym absolutnie całą, nawet tę, na którą cię nie stać...

— Wiem, żebyś wolał, ale mnie twoje policyjne potrzeby nic nie obchodzą. I wreszcie nie wszystko w moim życiu ma związek z twoim śledztwem. O tym, co nic ma, rozmawiać nie będę... Więc kilka dni temu umówiłam się z Pawłem na wczorajszy wieczór. Mieliśmy iść na jakąś artystyczną wódkę. Nic przyjemnego, ale czasem nie wypada odmówić... I on, ł ja w jakimś sensie żyjemy... żyliśmy z kontaktów z ludźmi... Ale wczoraj, w południe, Paweł złapał mnie telefonicznie w radio i odwołał spotkanie. Powiedział, że ma coś pilnego i nie ma mowy, by to odłożyć... Diabli z tą imprezą... ale ja miałam do Pawła jeszcze jedną sprawę... nic, nie pytaj jaką, to cię nie obchodzi... Dość, że nalegałam, byśmy spotkali się jednak wieczorem. Odmówił. Nic mu nie można było wytłumaczyć... Machnęłam ręką... Nagrania skończyłam po piątej, pojechałam na obiad, ale już wtedy zaczynało mnie nosić. Byłam wściekła na Pawła. Zadzwoiłam do niego i jeszcze raz poprosiłam, by znalazł trochę czasu... Chciałam, żeby raz potraktował mnie... jak... jak kogoś...

— Mów dalej — ponagliłem ją. Sięgnęła nerwowym ruchem po papierosa, zapaliła nie patrząc na mnie.

— On najpierw zaczął mi perswadować, żeby to jednak odłożyć, w końcu wściekł się. Pożarliśmy się. Pojechałam do „SPATIF-u”, wypijałam trochę, ale mi nie pomogło, przeciwnie, wezbrała we mnie dzika furia. Dobrze po dziesiątej wyszłam z klubu i przyjechałam tu, Dopiero zrobiło się piekło! Powiedziałam mu, kim jest, a on usiadł do maszyny i po prostu zabrał się do pisania. Wtedy wybiegłam z mieszkania...

— Która mogła być wtedy godzina?

— Nic mam pojęcia, może koło jedenastej, może później...

— Co robiłaś potem?

— Nic... Pętałam się po ulicach...

— A później wróciłaś.

Drgnęła. Spojrzała na mnie ze strachem.

— Co... Co ty próbujesz mi... Nigdzie nie wracałam. Po prostu pojechałam do domu.

— No dobrze. Teraz jeszcze jedno: miałaś klucze do tego mieszkania?

— Miałam. Do wczoraj. Zostawiłam je Pawłowi...

— Zerwaliście więc?

— Nie wiem... może... Zostaw mnie... Mam dość...

Wyszliśmy razem. Nalepiłem na drzwiach mieszkania dwa ostemplowane pieczętą komendy paski papieru. Iwona przyglądała się tym czynnościom w milczeniu.

## Porozmawiajmy o mężczyznach

---

*Środa, późno*

Znalazłem się sam na pustym niemal placu Zbawiciela i nie wiedziałem, co robić. Oczywiście w tym miejscu i o tej godzinie (dochodziła właśnie dwudziesta druga) zawsze można kupić u dzielnych i na wszystko odpornych chłopców nielegalne pół litra i w ten sposób rozwiązać problem nadmiaru wolnego czasu, ale to z kilku powodów nie wchodziło w rachubę. Zdarzało mi się już pijać samotnie, nigdy jednak tego naprawdę nie polubiłem. Do tego odczuwałem potrzebę pogadania po występach Iwony z kimś trzeźwym, rozsądnym i zrównoważonym. Na koniec musiałem obmyślić, co mam dalej robić, a to zależało od tego, czy znajdę kogoś, kto opowie mi coś więcej o Pawle. Przez ostatnie lata widywałem go rzadko, jeżeli nie liczyć programów telewizyjnych, po obejrzeniu których odczuwałem nieodmiennie ukłucia zwykłej chamskiej zawiści.

I nagle myśl: matka Pawła! Tak, pani Ania Niewczasowa to była osoba, o którą mi dziś wieczór chodziło. Dokonałem szybkiego bilansu czasu: jeżeli uda mi się dotrzeć na Pragę w ciągu kwadransa, mam szansę, że ta zacna kobieta nie spuści mnie ze schodów!

W tym momencie naszła mnie myśl, że Niewczasowa nie wie przecież o śmierci syna!... Już gotów byłem zrezygnować, pomyślałem jednak, że przecież rozmowy z nią i tak nie uniknę... Więc może najlepiej właśnie teraz...

Rozejrzałem się. Taksówka na żądanie zdarza się w Polsce wyłącznie w kiepskich „Kobrach”. Więc i tym razem w pobliżu, choć postojów tu nic brak, szansa na taryfę równała się zeru. Od czegoż jednak sektor prywatny, a do tego w takim miejscu! Kierowca pierwszego fiata zignorował mnie wprawdzie bezczelnie (gdyby wiedział, kim jestem!), ale drugi już grzecznie podjechał do krawężnika.

— Szefie, na Brzeską, możliwie szybko!

— A co, kurwa, na placu zabrakło? — spytał niedowierzająco.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem.

— Czego zabrakło? — spytałem zdezorientowany.

— Panie, coś pan! Jak to czego? Gorzały zabrakło, że z mety na metę każesz się pan wieźć?

— Nie, Ja do znajomych... Mieszkają na Brzeskiej...

— A... to przepraszam — włączył jedynekę. — Wsiadaj pan.

Ruszyliśmy ostro.

— Pan się spotkał z takim wypadkiem, żeby na placu zabrakło gorzały? — spytałem, bo nie chciało mi się wierzyć.

— Wiesz pan, że nie! Fakt, nie zdarzyło mi się...

— Nikomu się nie zdarzyło! Pamięta pan ubiegłoroczną zimą? Wszystko stanęło, a chłopaki mieli i zaopatrzenie, i towar, i obroty.

— Jasne, kochany, dzieciom mleka to może, ale żeby gdzie wody?! *Ukochany kraj*... — zanucił pod nosem znany sielski przebój.

Wysiadłem na rogu Targowej i Kijowskiej. Stąd do domu matki Pawła miałem dwa kroki, a nie mogłem odmówić sobie przyjemności przejścia się kawałek Brzeską, najbardziej warszawską i najbardziej przekłętą ulicą tego miasta!

Brzeska! W wyrażanych na różnych łamach i antenach przekonaniach kiepskich dziennikarzy i społeczników ulica ta stanowiła ognisko zła, promieniującego na całą stolicę, a może i dalej. To, że kwitł u nas nielegalny handel alkoholem, że szerzyły się spekulacja, złodziejstwo i prostytutka, miało zdaniem tych ludzi swe źródło w istnieniu tej niewielkiej, mrocznej i brudnej praskiej ulicy. Nie bez wpływu na tę opinię był też przylegający doń jednym bokiem Bazar Różyckiego, jedyny prawdziwy bazar w tym mieście. Oficjalna opinia głosiła, że tu właśnie krzyżują się ścieżki całej warszawskiej szumowiny, że tu można sprzedać „fanty” z każdego skoku, szybko pozbyć się cudzego zegarka, parzącego ręce, że jak się szuka pasera, kieszonkowca, fałszerza czy meliniarza, spotkać go można najłatwiej na „Różyku”. Głoszący takie opinie zapominali (albo nie wiedzieli), że jednocześnie było to jedyne miejsce, gdzie dostać można coś, czego bezskutecznie poszukiwało się wszędzie, a bez czego wicie dziedzin życia było po prostu nie do wyobrażenia. I tylko tu jeszcze spotykało się stragany, na których piętrzyły się sterty naprawdę pięknych jabłek

I gruszek, kuszących kolorami i połyskiem „wyglansowanej” skórki, tu marchew i kapusta były tym, czym były — jędrnymi warzywami, przyciągającymi wzrok i obiecującymi smak. Wielkie, zielone głowy świeżej, spryskanej wodą sałaty komponowały z brunatnymi i brązowymi wiankami suszonych grzybów, n wielkie białe gomółki serów i bryły żółciutkiego masła sprawiały trochę surrealistyczne wrażenie na bywalcu „SAM-ów”, gdzie towar poniewierał się po ladach fabrycznie popakowany, pognieciony i odpychający. W powietrzu unosił się nieodmiennie zapach kiszzonej kapusty, świeżo skubanego drobiu i setek gatunków ziół, wiszących naręczami pod daszkami drewnianych budek. Wszystko lu razem wyglądało jak jakieś nadwiślańskie corso czy Campo di Fiori. Dziesiątki straganów z odzieżą i galanterijną tandetą kusily przybysza z podstołecznej prowincji krzykliwością kolorów, połyskiem podrabianych zagranicznych etykietek i naszywek, obiecując niemal natychmiast ziszczenie marzeń o dalekim i nieosiągalnym *high life* krajów rozbu-chanej konsumpcji. Monaco, Acapulco, Paryż i Wiedeń, daleka Ameryka, Afryka czy Indie — wszystko to mieściło się na kilku tysiącach metrów kwadratowych praskiego *inferno* w zasięgu ręki. Brzeska zaś, „przekłęta ulica”, była jednym z nielicznych w tym mieście miejsc, gdzie wciąż jeszcze kupowało się normalny, ręcznie uformowany i z troską upieczony chleb, który pachniał jak chleb i tak samo chrupał i smakował. Były lu leż maleńkie sklepiki z różnościami, sklepiki, których nic zdążono jakoś przerobić na „salony obuwnicze i odzieżowe” czy szpanerskie butiki, a w nich na przykład czajniki do herbaty, tarki do kartofli czy inne sprzęty, których dawno nie oglądały śródmiejskie handlowe molochy.

Wszedłem do obskurnej, cuchnącej nieodmiennie moczem bramy i wspiałem się na drugie piętro. Przed drzwiami zatrzymałem się i spojrziałem na zegarek. Kilka minut po dwudziestej drugiej. Podniosłem rękę i już miałem zadzwonić...

Wstrzymałem się. Chwilę stałem bez ruchu, zbierając jakby siły. Może jednak zrezygnować i wysłać oficjalne wezwanie?... Głupio tak, cholera...

Uchyliła drzwi tak daleko, jak pozwalał na to założony łańcuch. Przyglądała mi się, mrużąc oczy.

—Dobry wieczór, pani Aniu. Nie poznaje pani? To ja...

—Rafał! — twarz jej w jednej chwili rozpogodziła się w uśmiechu. — Rzeczywiście nie poznałam... Tyle lat...

—Przepraszam, że o tej porze...

—Ależ... co ty mówisz... Proszę... proszę — zdjęta łańcuch i szerzej otworzyła drzwi. — Jakie dobre bogi cię tu sprowadzają?

—Chciałem z panią porozmawiać... — poczułem, że zasycha mi w ustach.

—No pewnie. Przecież na wieczorek tańczący mnie nie zaprosisz — objęła mnie serdecznie. — Wchodź dalej, rozgość się... A to ci niespodzianka! Myślałam, że nic mnie już, starej, nie zaskoczy, a tu...

—Co pani za głupstwa... pani Aniu... przecież pani...

—O, jaki dżentelmen! — Niewczasowa prowadziła mnie do dużego pokoju, który tak dobrze znałem ze wspólnych szczeniackich zabaw z Pawłem. — Ale miło, że wpadłeś. Czym cię można, Rafał, ugościć?

—Napiłbym się czegoś zimnego, jeśli to pani nie sprawi kłopotu...

—Nic się nie zmieniłeś. Zawsze tylko „coś zimnego"... Cóż, oranżada dziś nie taka, jak dawniej...

—Ale nie farbuje — uśmiechnąłem się na wspomnienie lat, kiedy w małym, prywatnym sklepiku opijałiśmy się z Pawłem oranżadą, która barwiła dziąsła i języki na zupełnie niesamowite, koszarne kolorki, ale która wówczas smakowała jak żadna potem.

—Właśnie, nie farbuje... A co do kłopotu... Widzisz, człowiek dopóty żyje, dopóki czegoś od niego chce. Jak się kończą kłopoty, to i reszta też...

Zniknęła w kuchni i po chwili wniosła wielki szklany dzbanek kompotu i słusznych rozmiarów kryształową szklanę.

— Wystarczy? — spytała z uśmiechem, stawiając wszystko na stole.

— Mam nadzieję — odpowiedziałem uśmiechem, w którym chyba nie było wesołości.

Napiłem się kompotu. Był zimny, esencjonalny, pyszny. Niewczasowa przyglądała mi się uważnie.

—Masz kłopoty, Rafał.

— Mam... Ale powiedziała pani przed chwilą...

— To nie to samo. Ja kończę, ty — zaczynasz. Więc powinno być inaczej.

— Powinno...

Zawiesiłem głos. Umilkłem. Patrzyłem gdzieś w bok.

—No to mów, z czym przychodzisz. I co u ciebie. Dawno się nie widzieliśmy. A i Paweł rzadko teraz przychodzi...

Sięgnąłem po kompot. Chciałem powstrzymać dygotanie rąk, ale bez powodzenia. Kilka czerwonych kropeł chlapnęło na obrus. Odstawiłem szklanke i mocno splotłem dłonie pod stołem.

— Co ci jest, Rafał?

— Proszę pani... Paweł... Paweł nie żyje — dygotałem cały jak w febrze.

Niewczasowa uniosła się z krzesła i patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. Było w nich tylko bezgraniczne zdumienie, może niewiara.

— Jak to? Rafał, co ty mówisz! Na litość Boga...

Czułem, że brakuje mi powietrza, że się duszę. Siedząc bez ruchu tępo wpatrywałem się w plamy na obrusie. Ona wyraźnie czekała, że odwołam to, co powiedziałem, że ta makabryczna chwila minie jak zły sen. Ale gdy milczenie przedłużało się, dotarła do niej cała prawda, jaką tego późnego wieczoru wniosłem do jej domu.

Usłyszałem, jak kilka razy szlochnęła bezgłośnie. Bałem się podnieść wzrok.

— Jak to się stało? — spytała po chwili. Spojrzałem na nią. Siedziała spokojna, opanowana, jej oczy były zupełnie suche, tylko w twarzy znać było napięcie. Dłońmi ścisnęła mocno brzegi obszernego, wełnianego swetra.

— Zabito go... zastrzelono... w jego mieszkaniu. Ubiegłej nocy...

Zamknęła oczy i mocno zacisnęła powieki. Spostrzegłem, że wargi jej ściągają się w wąziutką kreskę, a kostki palców rąk stają się białe. Trwała tak dłuższą chwilę, wreszcie napięcie zaczęło powoli ustępować.

— Czy wiadomo... kto...?

— Nie. Jeszcze nie. Właśnie ja mam odnaleźć zabójcę.

Nie zareagowała, zupełnie jakby nie dosłyszała.

— Ty? Dlaczego ty? A milicja?...

— Ja... ja właśnie tam pracuję... W milicji...

Niedowierzenie w jej wzroku było jeszcze większe niż w chwili, gdy usłyszała o śmierci Pawła.

— W milicji? Ty, Rafał, jesteś... Czułem, jak twarz płonie mi żywym ogniem. Patrzyłem jej w oczy z czymś w rodzaju wyzwania. Prawdopodobnie powinienem się teraz przed nią zawstydzić, ale jakoś nie znajdowałem w sobie pobudek. Pretensja i żal w jej spojrzeniu wydały mi się w tej sytuacji śmieszne i zupełnie bez sensu. Tylko tyle. Nie stać mnie było na gniew. Zresztą po co? Sam wiedziałem, jak jest. I prawdopodobnie czekało mnie w życiu jeszcze wiele takich ludzkich zdzowień.

— Tak, pani Aniu, od dwóch lat pracuję w wydziale zabójstw. Udało mi się jakoś tam przyczynić do złapania kilku morderców. I — jeżeli mi się uda — schwytam także tego, kto zabił Pawła.

Chwilę jeszcze trwała w bezruchu, przetrawiając to, co usłyszała w ciągu ostatniej półgodziny. Potem wstała od stołu.

— Przepraszam, Rafał, czy nie miałbyś ochoty... — urwała z zażenowaniem. Podeszła do staroświeckiego kredensu, otworzyła jedną z jego szafek i ostrożnie, jakby bojaźliwie, wyjęła małą, pękatą butelkę. — To od Pawła... dał mi na imieniny w tym roku...

Oczy jej zaszkliły się nagle.

— Chętnie, pani Aniu... Prawdę mówiąc... tak... napiję się... z przyjemnością.

Wyjęła dwa pękate kieliszki z cienkiego szkła i postawiła to wszystko na stole.

— Mnie tylko kilka kropli — powiedziała cicho, siadając na poprzednim miejscu. Nalałem. Sobie trochę więcej niż kilka kropli. Umoczyła lekko usta, ja wychyliłem swoją porcję jednym haustem.

— Nalej sobie jeszcze... — podsunęła mi butelkę,

Napełniłem koniakówkę do połowy i wypilem duży łyk. Zapaliłem wreszcie papierosa.

— Pani Aniu, proszę mi trochę opowiedzieć o życiu Pawła. Zwłaszcza o tym, co się z nim działo po maturze, To, co było wcześniej i to, co robił po studiach... o tym pani nie musi...

Uśmiechnęła się blado.

— Cóż... Nie wszystko wiem... Paweł uparł się na tę swoją polonistykę, nic mu nie można było wytłumaczyć. Póki żył mąż, perswadował, pokazywał, że perspektywy po takich studiach nie są zbyt zachęcające. Namawiał go na socjologię, to się robiło coraz modniejsze, każdy większy zakład przemysłowy chciał mieć własnych socjologów, było co robić, wydawało się, że sporo ta nauka zmieni w życiu ludzi, pomoże to i owo lepiej poznać... Rozmawialiśmy nawet na ten temat z jego wychowawcą. Ale to był polonista. On właśnie powiedział mężowi, że chłopak ma talent, że jest inteligentny, bardzo czytany, że ma pasję... Słowem twierdził, że filologia polska to dla Pawła idealny kierunek..

— Ale co się stało, że Paweł od drugiego roku zniknął z uniwersytetu? Co robił dalej? Dyplom dostał we Wrocławiu... Nigdy nie chciał o tym mówić...

— To ty nie znasz tej sprawy? No tak... Ona może być dla ciebie w tej sytuacji ważna, chociaż nie mam ochoty na rozgrzebywanie...

Przerwała i zamyśliła się. Wolno, bardzo wolno podniosła do ust kieliszek i upiła znów niewielki łyk. Zrobiłem to samo, opróżniając swą koniakówkę.

— Nie krępuj się... — Niewczasowa wskazała na butelkę. — Widzisz... Paweł był chowany głównie przez ojca. Pracowałam w bibliotece i całymi dniami nie było mnie w domu. O ojcu Pawła zaś powiedzieć można różne rzeczy, ale nie to, by chadzał pokrętnymi ścieżkami. Jako nauczyciel miał więcej czasu i to on właściwie ukształtował charakter syna. A że sam był fanatykiem praworządności, uczciwości, zwolennikiem czynów otwartych, jednoznacznych, nie uznawał żadnych szeptanek, żadnych strategii, wychował Pawła w duchu kultu dla swych ideałów. Nawiasem mówiąc sam miał przez nie sporo kłopotów... w pięćdziesiątych latach był kilkanaście miesięcy bez pracy... Nieważne zresztą... Ważne, że Paweł rozpoczął studia jesienią 1967 roku, a w kilka miesięcy potem...

— A w kilka miesięcy potem miały miejsce wypadki marcowe. Byłem wtedy w klasie maturalnej. Paweł miał z tym coś wspólnego?

Zawahała się, czy mi odpowiedzieć, a ja znów poczułem się idiotycznie, odgadując, że matka mojego serdecznego przez lata przyjaciela ma mnie pewnie za szpicla, tylko jeszcze nie wie, jaki jest bieżący kurs.

— Nie — odpowiedziała wreszcie. — Paweł starał się trzymać od tego jak najdalej, choć nie było to łatwe. Ale nauki ojca nie poszły w las. W końcu obaj byli mężczyznami, a ojciec umiał zdobyć sobie autorytet... Wiec Paweł starał się, ale mu się nie udało. Bo tuż po wybuchu zająć na uczelni ktoś wywiesił na korytarzu w ich instytucie jakąś odezwę czy manifest... Nie wiem dokładnie, w każdym razie tekst wzywał do



sprzeciwu wobec decyzji władz w sprawach kultury. Wpadło to w ręce kogoś z kadry asystenckiej i naturalną kolejną rzeczą poszło wyżej... Zagrożono rozwiązaniem roku, jeżeli autor się nie przyzna. Dla setki studentów, którzy dopiero co zaczęli, oznaczało to bezpowrotne rozstanie się z uczelnią... Tak to wtedy wyglądało... Jak pamiętam, w instytucie zawrzało... Przebąkiwano o strajku... Wtedy... Paweł wystąpił i... zażądał, by sprawca przyznał się i nie pogrążał innych... którzy nie mieli z tym nic wspólnego... Zagroził, że w przeciwnym razie powie...

— Więc wiedział?

— Wiedział — odparła.

— Skąd?

— Boże, nie mam pojęcia, ale wiedział... bo... bo nikt się nie przyznał... i następnego dnia... — urwała, przymknęła oczy.

— Następnego dnia Paweł doniósł — dokończyłem. Skinęła głową. Sięgnąłem po butelkę. Nalałem do połowy kieliszka i wypilem wszystko jednym długim łykiem. Wzdrygnąłem się.

— On był tak wychowany, Rafał, ty tego może nie zrozumiesz, ale ojciec wciąż mu powtarzał, że trzeba szanować prawo, trzeba być lojalnym, zwłaszcza w sytuacji, kiedy takie słowa tracą lub zmieniają znaczenie. W pojęciu Pawła to nie był donos... Odezwę traktował jak szczeniacki wybryk... Dopiero później, jak sytuacja rozwinęła się, jak zaczęto zwalniać ludzi... Paweł znalazł się wtedy w całkowitej izolacji. Pierwszy raz widziałam go w takim stanie... Przyszedł kiedyś do domu kompletnie pijany... Jego ojciec nie brał wódki do ust... Ja na stare lata czasem...

— Czy pani wie, pani Aniu, co się potem stało z tym chłopakiem?

— Wiem, że nie przyjęli go już z powrotem na studia. Poszedł do wojska, potem do jakiejś pracy... Nic więcej...

— Zna pani jego nazwisko?

— Zostaw to Rafał, proszę cię. Już i tak dosyć...

— Proszę pani, on miał motyw, mógł się zemścić.

Pokiwała głową.

— No tak, dla ciebie to wszystko wygląda teraz zupełnie inaczej. Twój urząd się tego domaga... Ten chłopak nazywał się Gołdyń. Na imię miał... chyba Grzegorz...

— Czy pani go kiedykolwiek widziała? Jak on wygląda?

— Widziałam go dwa razy. Raz przyszedł tu roztrzęsiony, pijany, zupełnie załamany. Boże... Jak wyglądał? Był bardzo wysoki, nosił długie włosy i brodę, której w ogóle nie golił... W połączeniu z brudnym, wymiętym ubraniem...

Westchnąłem. Gołdyń przypominał z wyglądu człowieka, którego nieco mniej wybrednymi słowami opisał mi dziś po południu wszechwiedzący cieć Niewczasa, Antoni Koliński. Ale nie bardzo się z tego cieszyłem.

# Czasem chce mi się rzygać

---

*Czwartek, można powiedzieć — rano*

Redakcja „Nowin Wydawniczych” mieściła się w poczerniałym od brudu i samochodowych wyziewów budynku, na jednej z tych ulic warszawskiego Śródmieścia, którymi rzadko idzie się z przyjemnością. Niezbyt szeroka, obudowana wysokimi, przedwojennymi domami, nie dopuszczała ani na chwilę zbawczych porywów wiatru, mogącego oczyścić jej atmosferę. Zgiełk stale pędzących nią samochodów nie miał się gdzie roznosić, kumulował się więc spokojnie w wąskiej przestrzeni między domami, sprawiając na nie-nawykłym do podobnych dobrodziejstw wielkowiejskości wrażenie autentycznego koszmaru.

Gdy odnalazłem bramę z dziwnie jak na to otoczenie czystą wywieszką, natychmiast naszła mnie myśl, że jest to chyba ostatnie miejsce, gdzie chciałbym pracować.

W pokoju z tabliczką „Sekretariat” zapytałem o naczelnego. Okazało się, że już był na miejscu, widać nie korzystał z niepisanych przywilejów, a może po prostu lubił wiedzieć, co dzieje się w podległym mu zespole. Było wpół do dziesiątej, dla ludzi wolnych zawodów pora raczej wczesna; wedle obiegowych powiedzonek i zwyczajów podpatrzonych przez rozmaitych badaczy, intelektualiści nie funkcjonują przed południem, więc uśmiechnąłem się tylko do siebie, a raczej do zniewalających stereotypów, i skierowałem się do wskazanego mi pokoju.

Gabinet naczelnego od stereotypów odbiegał już znacznie mniej. Prawie puste, ozdobione tylko filiżanką kawy biurko i dwie biblioteki, z których jedna wypełniona była tomami z zakresu „literatury obowiązkowej”, druga zaś — oprawnymi rocznikami „Nowin...”, składały się na całość umeblowania. Koszmarny, nowoczesny fotelik dla interesantów wciskał się w resztę wolnej przestrzeni między jednym z regałów a oknem. Ze ściany po lewej stronie surowo patrzył na mnie Stefan Żeromski.

Przedstawiłem się i wyjawiłem cel mego przybycia. Redaktor naczelny, Adam Dumała, gestem wskazał mi koszmarny fotelik.

— Spodziewałem się pana. Śmierć Niewczasu to prawdziwa strata. Tak samo wyrażą to zwyczajowe nekrologi gazetowe, ale cóż można powiedzieć więcej? Jesteśmy niewolnikami języka, człowiek chciałby czasem coś od siebie, a okazuje się, że inni to wszystko już dawno powiedzieli. Kawy, herbaty?

— Dziękuję. W taki upał nic gorącego. Zdaje się, że opacznie mnie zrozumiał, bo poderwał się z przystawionego do biurka krzesła, uchylił, drzwi gabinetu i zawołał:

— Pani Bożenko, proszę do mnie!

Po chwili w gabinecie pojawiła się pani Bożenka, kobieta nieco po trzydziestce, z gatunku tych, o których panowie na delegacjach rozmawiają zwykle nieprzyzwoicie, deklarując, co oni by takiej, jak i z jakiego powodu. Ponieważ jednak nie była w moim typie, zdałem się całkowicie na inwencję Dumala.

— Niech pani z łaski swojej poprosi tego stażystę... no... jak mu tam...

— Niemczak, panie redaktorze.

— Właśnie, niech go pani poprosi, żeby skoczył na dół i przyniósł coś do picia, Piwa, coli, wszystko jedno...

Pani Bożenka zniknęła bez słowa, a ja rzuciłem od niechcienia:

— To, zdaje się, punkt ostatni, pod tytułem: inne polecenia redaktora naczelnego?

Dumała spojrział na mnie jakby ze zdziwieniem.

— Pracowałem kiedyś przelotnie w prasie. Stąd moja znajomość reguł gry. Ostatni z obowiązków dziennikarza, przyjmowanego do pracy, brzmi: spełniać inne polecenia redaktora naczelnego. Po co pan to zrobił? Naprawdę nie chce mi się pić.

Nadal był zdziwiony, ale chyba i nieco poirytowany. W końcu wkraczałem w jego kompetencje.

— Nie rozumiem pańskich obiekcji — powiedział nieco oschle. — Mam prawo przyjmować interesantów i starać się, by wynosili z tych spotkań korzystne wrażenie. Mam prawo do gościnności, nawet do nadskakiwania, jeżeli wymaga tego interes firmy. Mam nadzieję, że pan nie uważa poczęstunku szklanką coca-coli za łapówkę lub malwersację, pogarszającą naszą i tak niełatwą sytuację gospodarczą?

Było to klasyczne odwrócenie zagadnienia, tak ostatnio typowe, że nawet się nie zirytowałem utajoną impertynencją i próbą zrobienia ze mnie wała.

— Oczywiście — odparłem — prawdziwe nadużycia, i to nawet te trudno wymierne w jakiegokolwiek konkretnej sferze, powstają w zupełnie innych okolicznościach. Pozwoli pan więc, że obaj udamy, iż nie wiemy, o co chodzi, i przejdziemy do konkretów. A stażysta Niemczak niech się dalej uczy życia.

Nie odpowiedział, przypatrywał mi się tylko uważnie przez chwilę, zapalając drogiego, zagranicznego papierosa.

— Proszę mi powiedzieć, co pan wie o materiale, który szykował dla pana Paweł Nic wczas, a na który tak niecierpliwie czekano w redakcji wczorajszego poranka?

— To proste pytanie — odprężył się, przybrał swobodniejszą pozę za biurkiem. — Nie wiem o tym nic konkretnego. Kilkanaście tygodni temu redaktor Niewczas uprzedził mnie, że szykuje bombę dla naszego pisma. Nie wiem, czy jest pan zorientowany w profilu „Nowin”...

— Założmy, że jestem — wtrąciłem, ale udał, że tego nie dostrzega.

— ...które są pismem typowo publicystycznym, oczywiście na pewnym poziomie. Nie zamieszczamy wnikliwych analiz, nie interesują nas specjalnie metody badawcze współczesnej krytyki literackiej. Zależy nam po prostu na dobrych, ostrych tekstach, formułujących pierwsze sądy o wszystkim, co nowe na naszym rynku wydawniczym. Sądy szczere, otwarte, niekoniunkturalne, wyrażane poza układami sensu *largo*...

Obawiałem się, że będzie formułował to mało odkrywcze i mało prawdziwe *credo* tak długo, jak długo pozwolą mu na to zapal i rutyna, więc wtrąciłem swoje trzy grosze: . — Drukujecie jednak także felietony niekoniecznie superaktualne, bardziej przekrojowe, ogólnie oceniające dorobek pisarza, oficyny wydawniczej...

Natychmiast zastopował. Widocznie zorientował się, że ma do czynienia z kimś, kto podobne „katechizmowe” definicje już kiedyś słyszał i może przeciwstawić im konkrety.

— Tak było właśnie z Niewczasem. Oczywiście, robił dla nas czasem tak zwaną obsługę codzienną, pisywał recenzje z aktualiów i tak dalej. Ale każdorazowo sam wybierał temat czy książkę. Nie interesował się wszystkim, jak to bywa z naiwnymi kontestatorami, goniącymi za każdą okazją do dania kopniaka autorowi. Niewczas wiedział, czego chce, tropił zjawiska niebezpieczne, fałszywe intencje i pozory, wszystko

to, co mogło się na naszym życiu literackim odbić niekorzystnie w najbliższej przyszłości, a nie tylko jutro czy pojutrze. Miał wyjątkowego „nosa”...

— A może po prostu świetnie się na tym wszystkim znał? Są ludzie, którzy twierdzą, że to, co nazywa się intuicją „nosem” i tak dalej, jest po prostu wynikiem rzetelnej analizy przedmiotu wspartej doświadczeniem...

— Z gruntu słusznie — rzucił krótko. — Być może źle się wyraziłem. Mówiąc o „nosie” Niewczasa, miałem właśnie na myśli doskonale rozpoznanie spraw kultury i środowiska twórczego. To są, wie pan, skomplikowane sprawy, wymagające odpowiedniej perspektywy oraz niemałej dojrzałości intelektualnej. Proszę mi wierzyć, że panu Pawłowi nie zdarzyło się kogokolwiek skrzywdzić. Czas zwykle pokazywał, że on miał rację. Pozornie pokrzywdzeni nie mieli po pewnym czasie argumentów na swoją obronę.

— Ale nie każdy Uczy się z czasem. Nie każdy rozumie jego działanie. Co z tego, że za rok o mnie zapomną...,,

— ...skoro stracę swoją szansę dziś? — tym razem Dumala wpadł mi w słowa. — No właśnie, tak to było z Niewczasem. Potrafił pokonać logiką i rzetelnością sądów. Tym bardziej że miał w środowisku dość wysoką pozycję. Wielu zabiegało o jego względy. On o to raczej nie dbał, choć go to bawiło, z pewnością bawiło... Ale bez przesady. Z drugiej strony to była bardzo dobra robota, także dla piszących. Z opinii i uwag Pawła można było wiele skorzystać. Nie gnoił dla zasady. Pomagał.

— A jednak ktoś go zabił.

W tym momencie pani Bożenka wniosła na tacy trzy butelki coli i dwie wysokie szklanki. Były w jednej trzeciej napełnione pokruszonym lodem, więc spojrzałem na nią przychylniej. Była zbudowana właściwie nieźle, choć we wszystkim natura pozwoliła sobie na nieco przesady. Rozstawiła akcesoria towarzyskie na biurku szefa i wyszła kołysząc rozłożystymi biodrami. Pozostawiła po sobie zapach jakiegoś „Masumi” czy może „Madame Rocháis”... Banał. Dumala napełnił szklanki.

— Nie łączyłbym jego śmierci ze sprawami zawodowymi — powiedział, skosztowawszy napoju. — To śmieszne: podejrzewać, że ktoś mógł zabić faceta z powodu recenzji. W naszym świecie zdarzały się już różne rzeczy. Muszę się panu przyznać, że po kilku skandalach, wywołanych obrazą czy fałszywie pojętą, urażoną ambicją, chciało mi się śmiać... kiedy już minął niesmak. Obrażone miernoty — cóż to za sprawa? Prawdziwa sprawa wymaga od nas czegoś więcej niż naskórkowej wrażliwości. Literatury nie da się zaprogramować, nic tu nie może być dane z góry. Aprioryzm bardziej szkodzi, bo podważa sens wszystkiego, co autentyczne, świeże, a więc najbardziej w literaturze poszukiwane. Niewczas to rozumiał. Potrafił przytknąć swe recenzenckie oko na wiele niedociągnięć, jeżeli to miało zaowocować w przyszłości. Był zawsze serio. Nawet z powieści kryminalnych potrafił pisać wnikliwe recenzje chociaż — Bóg mi świadkiem — często sam się temu dziwiłem.

— Przed chwilą opowiedział się pan przeciw narzuconym hierarchiom. Gdzie jest powiedziane, że powieść kryminalna to rzecz bez znaczenia? Czy to właśnie nie uroszczenie pięknoduchów? Niech pan pamięta, ilu ludzi to czyta, w jakich nakładach ta literatura się rozchodzi.

Trochę przystopował, widocznie uznał, że rzeczywiście popadł w sprzeczność. Ale natychmiast znalazł wyjście:

— Niech pan mnie nie łapie za słowa. Idzie mi o ogólną sylwetkę, myślę, że panu też powinno to być potrzebne.

— Zgadza się. Jest mi to potrzebne.

— No właśnie. Czasami jak pomyślę o tych wszystkich trendach, podziałach, o tych zawsze dobrych i zawsze złych, po prostu chce mi się rzygać. Nie ludźmy się — w większości wypadków to zawracanie głowy. Tak naprawdę istnieje w literaturze tylko jeden podział: podział na literaturę dobrą i złą!

Sięgnął po szklanke. „No, no — pomyślałem. — Zaskoczyłeś mnie, burzycielu ustalonego porządku. Widać, wielu rzeczy nadal nic rozumiem”.

— Od jak dawna jest pan naczelnym „Nowin Wydawniczych”? — spytałem.

Znów popatrzył na mnie badawczo.

— Zastanawiam się, kim pan naprawdę jest i o co panu chodzi — odparł znów zirytowany. — W gruncie rzeczy nie ma pan własnej koncepcji na to śledztwo. Roznosi pana jak pierwszoklasistę. Zdaje się panu, że jak się wygładzi wszystkie wyboje drogi, po której chodzą tacy jak ja i Niewczas, będzie pan szybciej postępował do przodu. Jest pan w błędzie. Niejedno jeszcze pana zadziwi. Niewczas umiał te wszystkie sprzeczności odsunąć, widzieć obraz skomplikowany, ale przejrzysty. Czepianiem się każdej niezgodności ze z góry przyjętym modelem daleko pan nie zajędzie. To trudne sprawy. Bez dystansu nie ruszy pan z miejsca za żadne pieniądze.

— Pan nie odpowiedział na moje pytanie, panie redaktorze.

Znów napił się coli.

— Prowadzę to pismo od dwudziestu czterech lat. Zawsze robiłem wszystko, aby uniknąć skrajności. Żeby we wszystkim widzieć tak pozytywa, jak i negatywa.

— Brawo! — odparłem sięgając po szklanke.

## Oddzielić ziarno od plew

---

*Tego samego dnia, wczesnym popołudniem*

Piotr Olgierd Ellman był intelektualistą klasycznym. Gdy po wyjściu z redakcji „Nowin...” zadzwoniłem do niego do domu, skłął mnie i oświadczył, że ostatni raz był o tej porze na nogach w dniu swej matury. Nie omieszkał przypomnieć mi, że było to dziesięć lat temu. Na propozycję wspólnego wypicia kawy w południe rzucił coś obraźliwego i zaproponował godzinę czternastą. Tylko na moją usilną prośbę zgodził się przesunąć ten termin o kwadrans wstecz.

W „Klubie Dziennikarzy” zjawiłem się punktualnie. Pora była obiadowa, wszystkie sale zatłoczone, identycznie poubierane kelnerki z trudem przedzierały się przez gęsty tłum, żonglując z wprawą tacami zastawionymi czymś, co z daleka sprawiało zupełnie dobre wrażenie. Roznoszący się wkoło zapach zdawał się to wrażenie potwierdzać.

Obszedłem wszystkie zakamarki sprawdzając, czy nie znajdę gdzieś Ellmana i już miałem wycofać się do hallu, by tam spokojnie poczekać, gdy nagle w tłumie w sali na prawo od wejścia mignęła mi przelotnie znajoma sylwetka. Cofnąłem się pół kroku i dyskretnie sprawdziłem, czy nie ulegam przywidzeniu. Zgadzało się. Rysio Żak, kolega, który oprowadzał mnie po miejscu zbrodni, to znaczy po mieszkaniu Niewcza-

sa, siedział w kącie przy obficie zastawionym małym stoliku, pograżony w konfidenckonalnej rozmowie z kimś, kogo nie znałem.

Spiesznie wycofałem się do hallu, nie chcąc, by mnie widział. Ciekawe, co on tu robi? Jakies sprawy służbowe? Czy po prostu spotkanie z kimś znajomym? „Dziennikarze” słynęli z dobrej kuchni i niezłego asortymentu spirytualiów, więc...

Nadejście Ellmana oderwało mnie od tych cokolwiek małomiasteczkowych spekulacji. Pał diabli Rysia Zaka. Miałem tu w końcu do załatwienia kilka ważniejszych spraw.

Piotr Olgierd Ellman był moim serdecznym kumplem z okresu studiów. Nikt tak jak on nie nadawał się do spędzenia kilku godzin cudownych rozmów o wszystkim i o niczym nad kilkunastoma butelkami piwa czy paroma setkami wódki. Inteligentny, o ciętym języku, nadawał się znakomicie na duszę towarzystwa chcącego pobawić się kulturalnie, choć może cokolwiek pusto. Powierzchnowa wiedza pozwalała mu zawsze zabrać głos tak, by ożywić dyskusję. Podobnie jak Niewczas dość wcześnie zaczął publikować w prasie, jego błyskotliwe i dobre stylistycznie felietony podobały się, były bowiem właśnie takie, jak trzeba: do czytania.

Moja bliska z nim zażyłość nie przerodziła się w przyjaźń chyba głównie dlatego, że irytował mnie nieco styl bycia Piotra. Potrafił się wszędzie znakomicie znaleźć, nie przejmował się zbyt zasadami, umiał nimi zonglować. Nie pozwoliłby sobie nigdy na wpadkę, raczej milczał, przysłuchując się grzecznie i uważnie, gdy nie miał o przedmiocie rozmowy pojęcia. W końcu zawsze udawało mu się znaleźć błyskotliwą analogię, ukuć wesoły kalamburek, to zwracało na niego uwagę towarzystwa, wskazywało, że jest, że nie milczy. Pewna spontaniczność zachowania się bardzo się ludziom podobała, toteż Ellman uchodził za człowieka otwartego, wrażliwego, przeciwnika sztywności i konwenansów. Niezwykła wręcz skłonność do kabotyństwa, właściwa wszak nie tylko jemu, odczytywana była jako kipiąca witalność, która nie poddaje się kontroli. Można to było zawsze wybaczyć. W końcu ktoś jest doskonały?

Typowym numerem w jego stylu było podpisywanie przezeń felietonów o poezji skrótem POE. Niby tylko pierwsze litery imion i nazwiska, a jednak...

— I cóż cię, bracie, ściągnęło na pokrętne ścieżki i wertepy gazeciarskiego wyrobnictwa? — spytał walcąc mnie w plecy. — Znikasz na całe lata i nagle, ni stąd *t* ni zowąd, pojawiaasz się z tajemniczą sprawą, która „nie jest na telefon”. Masz zamiar znów wstąpić w szranki?

— Skąd wiesz, że z nich w ogóle wystąpiłem?

— Dedukcja — odparł prowadząc mnie do zwalnającego się właśnie stolika i wymieniając na prawo i lewo pozdrowienia, uwagi, dowcipy, umawiając się w przelocie na spotkania i rozmowy telefoniczne. — Nie ma cię na łamach, znaczy: wyszedłeś, proste?

— Mogłem świadomie złamać pióro. To się zdarza.

— Nie zawracaj głowy — machnął lekceważąco ręką. — Nie ma nic gorszego, jak obrazić się na rzeczywistość. Co ci to da? Przyjdzie na twoje miejsce paru gorszych, ale mądrzejszych...

— Chciałeś powiedzieć: cwańszych.

— Nazywaj to sobie, jak chcesz, dość, że oni zapełnią tę lukę zupełnie swobodnie i skasują cały szmal. A ty stracisz.

— Pozycja zajęta przez takich, o jakich mówisz, nie będzie mocna.

— A kogo to, bracie, obchodzi? Przyroda nie znosi próżni, ot co.

— Słusznie, Piotruś, w kieliszkach też — rzucił jakiś przechodzący obok nas facet o twarzy zapitego pinczera, z przyklejonym do warg głupawym uśmiechem.

Ellman uniósł rękę w powitalnym geście.

— Cześć, Wituś, nie martw się, zdążymy jeszcze swoje wypić. Odezwał się do mnie stary kumpel, cudowny facet, tyle że z kompleksem Prometeusza, rozumiesz? Trochę to potrwa, ale jak będziemy wychodzić, z kompleksu nie zostanie ani śladu, spokojna głowa.

Zapity pinczer mrugnął szelmowsko i pozęgłował w stronę baru. Postanowiłem przejść do konkretów.

— Wszystko to fajne, Piotrek, ale ja mam rzeczywiście poważną sprawę i chciałbym, abyś ją jako taką potraktował. Po-żartować możemy potem.

— Ale przedtem możemy napić się piwa, co? — Ellman gestem przywołał kelnerkę, a gdy podeszła, zadysponował: — Sześć piw.

— Tylko do konsumpcji — przypomniała dziewczyna. — Co podać do zjedzenia?

— Książkę życzeń i zażaleń — powiedział Ellman.

— Proszę bez żartów- — dziewczyna zrobiła gest, jakby chciała odejść.

— Ja wcale nie żartuję, pani Jadziu. Chce mi pani wymówić, że wszyscy ci, co tu piją piwo, co mówię, żłopią piwo, zamawiają do każdej butelki konsumpcję? Skąd by na to brali?

Kelnerka popatrzyła nań chwilę wzrokiem, w którym trudno się było dopatrzeć przychylności, po czym odeszła.

— Radzisz sobie — rzuciłem z odrobiną uznania.

— Muszę. Nikt tego za mnie nie zrobi. Ale może przejdziemy do adremu? Co u ciebie? W czym aktualnie robisz?

— W milicji — powiedziałem krótko. Najwyraźniej go zatkało.

— Jak to: w milicji?

— Zwyczajnie. W wydziale zabójstw. Nadal nie mogło mu się to pomieścić w głowie.

— W wydziale zabójstw? Ty? Rafał, co ty bredzisz?! Zaraz... czekaj... no tak, ty przecież pisałeś kiedyś trochę o patologii społecznej, o marginesie... jakies reportaże... recenzje... Toś tak daleko zaszedł?

— Zgadza się. Choć to przypadek. W pewnej chwili znudził mi się publicystyczny kontredans. Jeżeli jednak interesują cię szczegóły, to może innym razem. Dziś chciałbym z tobą pogadać o zabójstwie Pawła Niewczasa.

Walnął się z całej siły w czoło, pociągnął kilka potężnych łyków piwa, które kelnerka tymczasem postawiała na stoliku.

— Patrz, cholera, nie skojarzyłem, jak wyjechałeś z tą milicją... Chcesz powiedzieć, że prowadzisz tę sprawę?

— Zgadłeś. To właśnie chciałem powiedzieć.

Wyraźnie zmienił mu się nastrój. Spoważniał. Zapalił papierosa, skończył pierwszą butelkę piwa i po chwili milczenia odezwał się:

— Może to i dobrze? Ty przynajmniej jesteś — w każdym razie byłeś — facetem z głową...

— Wiesz, nie mam pojęcia, może jeszcze nim jestem, ale gwarancji ci nie dam. Musisz się przekonać sam. W końcu praca w policji, rozumiesz...

— Dobra, dobra... Trochę cię w końcu znam. Aż dziw bierze, żeś mi jeszcze nie nawrzucał za to „byłeś”. Spokorniałeś coś dziwnie...

— Nie mam czasu na jałowe utarczki — powiedziałem po prostu. — Chciałbym, żebyś mnie trochę oprowadził po tym waszym dziwnym światku. Trochę wypadłem z kursu, a klucz do sprawy Pawła leży — jak mi się zdaje — raczej w ludziach...

— Klucz do wszystkiego leży w ludziach — stwierdził odkrywczo, w lot chwytając okazję do mędrkowania. Przerwałem mu:

— Nie filozofuj. Wiesz chyba, o co mi idzie?

Upił z butelki kilka sporych łyków, zapalił nowego papierosa i odparł:

— Mniej więcej wiem. Szukasz dobrego motywu, co? Sztampa ci nie pasuje?

— A tobie by pasowała? Trochę znałeś Pawła...

— Znałem i przyznaję ci rację. Ale, widzisz, sprawa jest pochyla. Paweł był w końcu po prostu krytykiem literackim. Dobrym, twardym, ale jednak... A zbrodni literackich, jak się zapewne orientujesz, za wicie nie było. Już prędzej samobójstwa...

— Nie wchodzi w grę. Znasz Iwonę Bogusz?

— O wiele mniej, niż bym chciał, ale znam. A co, pasuje ci? Ona by się nadawała. Ostra. W afekcie — nieobliczalna. Z taką to by można...

— Miejsce się zwolniło. Masz szansę.

— O ile znam się na znaczkach pocztowych, to to miejsce od pewnego czasu szykował już sobie kto inny...

— To banalne, ale mów. Zobaczymy.

— Nie lubię plotek.

— A ja uwielbiam... Daj spokój, zaczynasz mnie irytować!

— To zagraj w „Chińczyka”. Oduczysz się. Mówi ci coś nazwisko Gołdyń?

Trochę mnie przymurowało. Co, u licha?! Zemsta czy zbrodnia z miłości?

— Daj spokój, Rafał — roześmiał się. — Tu trzeba szukać inaczej. Jak zaczniesz się sugerować takimi historiami, motywów będziesz miał na kopy i pęczki. Ale to będą plewy, bracie, bo normalny, uczciwy facet musi mieć z niektórymi na pieńku. I te plewy trzeba oddzielić.



— Pomożesz mi? Zastanawiał się chwilę.

— Oczywiście zupełnie incognito — dodałem.

— Pomogę — odparł wreszcie po namyśle.

Stuknęliśmy się butelkami. Pociągnęliśmy potężnie.

— Dobrze — stwierdziłem zapalając papierosa.

— Niezłe — Ellman od dłuższej chwili rozglądał się po sali. Nagle roześmiał się. — To zabawne — powiedział. — Sugestia to potęga. Od chwili, gdy dowiedziałem się, czego ode mnie oczekujesz, widzę dookoła wyłącznie potencjalnych kandydatów na morderców. Ludzi, którym Paweł tak czy owak zalazł za skórę. Chyba musimy stąd spłynąć, w przeciwnym razie wyliczę ci zaraz u różnych ludzi tyle motywów, że ty zwariujesz dokonując eliminacji, a w tak zwanym międzyczasie połowa środowiska znajdzie się za kratkami.

Sięgnąłem po portfel, ale Ellman machnął pogardliwie ręką, mamrocząc coś o głodowych pensjach państwowych urzędników. Czekaliśmy na rachunek.

— Widzisz tego trzęsącego się gościa przy stoliku pod oknem?

Obejrzałem się dyskretnie.

— Kandydat? — spytałem.

— No pewnie. Był — że się tak wyrażę — stałym „pacjentem” Niewczasu. Paweł sporo na nim zarobił, a ilu ludziom dostarczył uciechy,.. To niejaki Kazimierz Wilczek, dla mniej wtajemniczonych Robert Wolfe. Wysokie nakłady, zagadki kryminalne dla ćwierćinteligentów, przekłady zagraniczne, wprowadzie w zaprzyjaźnionym bloku, ale zawsze... Ostatnio mu trochę nie szło. Na mieście mówiło się, że nie chcą go więcej wydawać. Ktoś im otworzył oczy. Kazio zniknął z horyzontu. Przestał bywać. A teraz patrz — znów się pojawił! Ciekawe...

— Może dla ciebie. Rzeczywiście lepiej chodźmy. Paweł Niewczas ofiarą urażonego autora powieści kryminalnych!

— Chciałeś plotek, to je masz. Ja zresztą niczego nie sugeruję. Mówię trochę to, co mi przychodzi do głowy. Widzisz, hasło „Niewczas” otworzyło jedno z tych dawno nie otwieranych drzwiczek pamięci...

Ellman uregulował podany nam wreszcie rachunek i skierowaliśmy się w stronę wyjścia. Wskazałem mu dyskretnie Rysia Żaka i nie znanego mi, siedzącego z nim faceta.

— Znasz może tego gościa w grubych okularach?

— Tak. Kieruje działem literackim miesięcznika „Kreacje”. A co?

Znasz go na tyle, żeby go o parę rzeczy zapytać? — Mogę to zrobić zawsze...

— Byle nie w tej chwili. Dowiedz się przy okazji, czego chciał od niego ten, co z nim teraz pije. To wszystko.

— Załatwione, a co, znasz tego drugiego?

— Tak, ale — wybacz — nie mogę ci, niestety, powiedzieć nic więcej.

— Trudno. Nie jest to lojalne. Ja w końcu...

— Co robić? Bywa i tak — przerwałem przeczuwając, że zaczniesz się skarżyć.

Na ulicy Ellman podszedł do zaparkowanego nieopodal małego, ślicznego renaulta 5 i wydobyłymi kluczykami otworzył drzwi.

— Wsiadaj, pojedziemy gdzieś i pogadamy po drodze.

Oczy same zaśmiały mi się do tego cacka w kolorze srebro metalic. Podszedłem i oglądałem samochód dłuższą chwilę.

— Twój? — zapytałem wreszcie.

— Niestety, mój. Zrobiłem parę rzeczy na Zachodzie, wiesz, dwa, trzy większe eseje, trochę drobnicy... Popracowałem dla wroga i kupiłem sobie. Normalka.

— W porządku — powiedziałem. — Ja prowadzę.

— Nie żartuj. Nie znasz wozu.

— Znam inne. Podobne. Poza tym — ty piłeś.

— No, no, bez przesady. Ty też.

— Ale ja to co innego — bezceremonialnie, choć ze źle maskowaną niecierpliwością wyjąłem mu z ręki kółko z kluczykami.

Rozsiadłem się wygodnie za kierownicą, omiotłem czułym spojrzeniem deskę rozdzielczą i uruchomiłem silnik. Ellman przybladł na twarzy.

— Ależ z ciebie mieszcuch. Zgroza... — rzuciłem.

— Tylko nie szalej — przerwał mi. — I nie popisuj się.

— Spokojnie. Wszystko w zgodzie z kodeksem drogowym.

Przegazowałem kilkakrotnie ostro. Piotr Olgierd patrzył już na mnie z wyraźną irytacją. Włączyłem wsteczny i ostro wyrwałem do tyłu. Hamulec. Jedyńka, ostry zryw do przodu z nagłym skrętem kierownicy. Małeństwo nosło posłusznie i bezkonfliktowo. Dwójka, gaz do deski i zaraz trójka. Jak na razie wszystko w porządku.

Na Wisłostradzie rozwinąłem ją taką prędkością i sięgnąłem do włącznika stereofonicznego Blaupunkta. Z umieszczonych z tyłu głośników popłynęły dźwięki jakiegoś przeboju w stylu disco. Dodałem gazu.

— Więc powiadasz, że Gołdyń miał się na trwałe pojawić u boku pięknej Iwony? — powróciłem do przerwanej u „Dziennikarzy” rozmowy.

— Asystował jej wyraźnie, a ona zdawała się być nie od tego — Ellman, widząc, że samochód jeszcze jedzie, a my obaj jesteśmy cali i zdrowi, wyraźnie się uspokoił.

— Znasz może jakieś bliższe szczegóły? Coś przecież musiało ją do zmiany partnera skłonić. Mam podobne informacje z innych źródeł. W końcu Niewczas nie był pierwszym lepszym. Niełatwo było wygrać z nim w rywalizacji. A Gołdyń — cóż, jeden z wielu...

— Niezupełnie — Ellman ściszył radio.— Widzisz, ładnych kilka lat temu Gołdyń uchodził za wschodzącą gwiazdę młodej prozy. Jego debiut, powieść *Pośpieszny z przesiadką w czyścicu*, został świetnie przyjęty. Grześ zrobił sobie nazwisko, po czym jakby spoczął na laurach. Wydał drugą książkę, ale to już nie było to. Niewczas oczywiście śledził to wszystko i po ukazaniu się *Poranków skacowanych* wyśmiał w prasie kreatorów „nowej, wschodzącej gwiazdy”, udowadniając przekonywająco, że Gołdyń jest autorem jednej książki i że jego talent wiele już nie rokuje. Zrobiła się drobna afera, omal nie doszło do mordobicia. Gołdyń w tym wszystkim nie brał udziału. Pracował dużo, publikował opowiadania w prasie literackiej, ale jego trzeciej książki już mu wydać nie chcieli. Była po prostu słaba. Bardzo chciał Gołdyń udowodnić Niewczasowi pomyłkę, ale okazało się, że Paweł i tym razem miał rację.

— To, co mówisz, potwierdza moje wątpliwości. Widzisz, Iwona Bogusz nie wygląda mi na dziewczynę, która zamieni lepszego na gorszego. A ten Gołdyń to — jak sam mówisz — gwiazda sezonu.

— A jednak... Niedawno podpisał umowę na scenariusz wieloodcinkowego serialu telewizyjnego o współczesnych młodych gniewnych. Rzecz ma być robiona w koprodukcji z Bułgarią, Czechosłowacją i jeszcze kimś. Nie wiem, jak on to zrobił, ale się znowu wywinduje, to pewne. Kilka nagród ma jak w banku. Jakiś czas będzie na wierzchu, i to mocno.

— Paweł nie miał z tą sprawą nic wspólnego?

— Tymczasem chyba nie. Ale jakby się okazało, że realizatorom wyszedł knot, byłby pierwszym, który by im tę prawdę unaoczniał. Sława Gołdynia mogłaby być mocno pomniejszona...

— Tak... — odezwałem się po chwili milczenia. — Można by się tu dopatrywać jakiegoś tam motywu. Ale czy Gołdyń był jedynym facetem w podobnej sytuacji?

— W takiej, jak ta — jedynym. Ale mogło być wiele podobnych sytuacji, a tym samym wielu ludzi. Niewczas działał na wielu płaszczyznach. Był aktywny i dociekliwy. Dlatego powiedziałem, że najważniejszą rzeczą jest oddzielić ziarno od plewy.

— A to, co powiedziałaś, jak byś zakwalifikowała?

— To twój problem. Ja to wiem i to mi na mój prywatny użytek wystarcza. Prawdy szukać musisz sam. Jak coś mi jeszcze przyjdzie do głowy, odezwę się do ciebie. I życzę ci po prostu powodzenia, bo nie chciałbym robić tej roboty. Za żadne pieniądze.

— Dzięki. Ceniłem Pawła i dopadnę tego, który jedyne dla siebie wyjście widział w jego śmierci.

— Rozumiem to — powiedział Ellman. — Ale, widzisz, Paweł był wybrańcem. A wybrańcy bogów umierają młodo...

Piotr Olgierd Ellman bez aforyzmów nie był po prostu sobą.

## To ja zabiłem Pawła

---

*Piątek, z rana*

Dochodziła dziewiąta, gdy zjawiłem się w moim pokoju w komendzie stołecznej. Na dziewiątą wyzna-  
czyłem tu sobie bowiem spotkanie z człowiekiem, który z wielu bardzo istotnych powodów mógł pragnąć  
dla Pawła Niewczasa wszystkiego, co najgorsze. Przelotnie pomyślałem nawet, że tych motywów ma on  
trochę za dużo, ale tego ranka postanowiłem nie wybrzydzać. Przyniosłem sobie z sekretariatu Janisza bu-  
telkę zimnej wody mineralnej, otworzyłem ją, napiłem się. Wczorajsza przejażdżka z Ellmanem zakończyła  
się w wilanowskiej „Kuźni” i trochę mnie od rana suszyło. Potem wypilem herbatę. Czekałem. Czekałem na  
Grzegorza Gołdynia, który zatrzymany jeszcze wczoraj po południu na moje polecenie miał być doprowa-  
dzony z aresztu punktualnie o dziewiątej.

Nie spóźnił się więcej niż pięć minut, nie miał możliwości. Z całej jego postaci przebijały zmęczenie i  
rezygnacja. Trochę go rozumiałem.

Wyciszony, przybity, usiadł na wskazanym mu krześle.

— Wie pan oczywiście, dlaczego się tu znalazł — zacząłem dość schematycznie.

— Mniej więcej. Ale zupełnie tego nie kojarzę. Pańscy ludzie powiedzieli mi, że ktoś zamordował Nie-  
wczasa, ale co ja mam z tym wspólnego? Co?

— Myślę, że sporo — poczęstowałem go papierosem, zapaliliśmy. — I myślę, że wie pan o tym równie  
dobrze, jak ja...

— Tylko bez takich gadek! — wyprostował się gwałtownie. — Ja się tak łatwo nie pietram. Proszę o  
konkrety. Że go trochę znałem i więcej niż trochę nim pogardzałem, to jeszcze nie znaczy...

— Panie Gołdyń — przerwałem mu. — Zacznijmy od tego, że wiem już co nieco tak o przeszłości, jak i  
o terażniejszości pańskich potyczek z Niewczasem. Pewną rolę odgrywa tu niemiły epizod z marca 1968,  
prawda? A i osoba Iwony Bogusz nie jest, zdaje się, bez znaczenia...

Skurczył się w sobie. Palił zachłannie, na czole pojawiły mu się drobne kropelki potu. Przygotował so-  
bie widać przez noc jakąś wygodną linię obrony, a tu masz!

— Jest pan naiwny, sądząc, że można się z takimi sprawami ukryć w waszym środowisku. Wzbudzenie  
jednak żywe zainteresowanie... Ale do rzeczy. Niech pan tylko nie kręci, tak będzie lepiej i dla mnie, i dla  
pana.

Dłuższą chwilę milczeliśmy. Gołdyń, wpatrzony w jeden punkt na podłodze, najwyraźniej się zastana-  
wiał.

— Może mi pan dać jeszcze papierosa?... Dziękuję...

Podąłem mu ogień. Zaciągnął się mocno i wyprostował na krześle.

— Niech mi pan powie, kiedy i w jakich okolicznościach widział pan Niewczasa po raz ostatni.

— Dawno, nie pamiętam dokładnie... Była jakaś impreza, jakiś spęd... Aha, już wiem... Gdzieś z mie-  
siąc temu Dionizy Kwapisz... pan oczywiście wie, kto to jest... otóż Kwapisz obchodził jubileusz pięćdzie-  
sięciolecia pracy pisarskiej. Z tej okazji w jego willi w Podkowie Leśnej odbyła się... taka, wie pan, oficjał-  
ka. Jakieś władze, prasa, koledzy po fachu, wódka i żarcie... Mnie wysłała jedna redakcja... Tam właśnie  
widziałem Niewczasa. Potem mignął mi przelotnie ze dwa razy na mieście, ale to bez znaczenia...

— A we wtorek wieczorem? — rzuciłem znienacka.

Drgnął, ale szybko się opanował.

— Powiedziałem już przecież... Co pan mi chce przypisać?...

— Ja nawet nie chcę. Ale muszę. Prosiłem, aby pan nie kłamał. Człowieku, przecież ja mam świadków, którzy cię tam widzieli! Zaczynj trochę myśleć, do cholery! Przecież jak cię tu wzywam, to muszę mieć podstawy... Wolisz iść siedzieć za cudze winy? A może to jednak ty?

— Nie zabiłem go! — krzyknął. — Rzeczywiście byłem tam, na Nowowiejskiej, ale jak wychodziłem, to zostawiłem go całego i zdrowego. Chociaż korciło mnie, by mu, bydlakowi, przyłożyć...

— Waszą rozmowę słyszał dozorca. Więc teraz bez kręcenia i po kolei — delikatny bluff mógł mi zaoszczędzić dalszych niepotrzebnych pytań i utarczek. Zapaliłem papierosa. Gołdyń mówił:

— O historii z marca 1968 nie ma co mówić. Było, minęło... Miałem przez to w życiu trochę kłopotów... wie pan... brak dyplomu... ale to przeszło, prawie o tym zapomniałem. Co zaś do Iwony... — zamilkł na chwilę — ...to był przypadek, naprawdę... Poznałem ją rok temu w telewizji...

— Ejże! Przypadek? A mnie to wygląda na chęć ugodzenia Niewczasa w tak zwany czuły punkt, zagrania na męskiej ambicji...

— Powiedziałem już, to przypadek... Nie wiedziałem, że Iwona i Paweł...

— Ale potem się dowiedziałeś...

— No i co? Przecież nie mogłem jej do niczego zmusić. Gdyby sama nie chciała, nie podjęła decyzji...

— O ile wiem, ona jej jeszcze nie podjęła. Nie tak szybko, przyjacielu.

— To była kwestia czasu... kilka dni... Zwłaszcza po tym, co się stało ostatnio...

— To znaczy?

Popełniłem błąd. Zrozumiał, że bluffowałem, że jednak nie wiem wszystkiego. Zamilkł.

— Słucham, co dalej...

— Jak pan wszystko wie, to czego jeszcze...

— Chciałem z tobą po dobroci, bracie, ale widzę, że próbujesz być cwany. W porządku. Opowiedz mi po kolei, ze szczegółami, co robiłeś wtorkowego wieczoru. A żeby rozwiać twoje ewentualne wątpliwości, powiem ci, że w krytycznym czasie Iwona była na miejscu zbrodni i najprawdopodobniej w najbliższym czasie prokurator wyda nakaz tymczasowego jej aresztowania...

— Ona nie ma z tym nic wspólnego!!! Ja wiem wszystko, opowiem panu, ale niech ją pan zostawi!

— Najpierw opowiedz, co wiesz, a potem zobaczymy.

Poprosił o jeszcze jednego papierosa i zaczął mówić:

— Iwona przyszła do mnie we wtorek około wpół do ósmej. Była wstawiona i roztrzęsiona. Chciała się wygadać, nic więcej, a wiedziała, że u mnie może... Furia opuściła ją po jakimś czasie i wtedy powiedziała mi, że jest z Niewczasem w ciąży, że chciała mu to powiedzieć, ale on dla niej nie miał czasu... Był zajęty... Iwona gotowa była natychmiast od niego odejść... Być może jej stan psychiczny wywołał taką determina-

cję... nie wiem... Wiem, że wściekłość ogarnęła z kolei mnie. Kazałem Iwonie siedzieć w domu, a sam wyszedłem, by rozmówić się z Niewczasem. Miałem i powody, i okazję, że trudno o lepsze...

— Motywy zabójstwa też miał pan niezłe...

Nie zwrócił na to większej uwagi. Teraz jemu zależało, by mówić.

— Zastałem go przy maszynie. Chciał mnie po prostu wyrzucić z mieszkania, ale ze mną nie tak łatwo. Przypomniałem mu pewne sprawy z przeszłości... wie pan, jakie... Spuścił z tonu... wypilem mu parę piw i odbyliśmy męską rozmowę, która nie zrobiła na nim większego wrażenia. Wybiegłem stamtąd w obawie, że jak posiedzę jeszcze chwilę, może być niedobrze...

— Która była wtedy godzina?

— Z pewnością przed wpół do jedenastej. Przed jedenastą byłem z powrotem u siebie.

— Iwona czekała na pana?

— Oczywiście — odpowiedział natychmiast.

— Jak długo pozostała jeszcze w pańskim mieszkaniu?

— Do rana...

— Kłamstwo, Gołdyń, powiedziałem już panu, że Iwonę widziano u Niewczasa nieco później... Więc teraz ja przedstawię przebieg wydarzeń tego wieczoru. Wróciwszy do domu, nie zastał pan Iwony. Przerazony ruszył pan na jej poszukiwanie. Podejrzewając, że mogła wrócić do mieszkania Niewczasa, pojechał pan na Nowowiejską. Ale gdy pan tam przybył, było za późno. Zastał pan Iwonę i zabitego Pawła. Zgadza się?

Wiedziałem dobrze, że zgadzać się nie mogło, luka czasowa była jednak znaczna, ale ciekaw byłem reakcji Gołdynia.

Zbladł, zaczął dygotać cały jak w febrze. Kochał tę Iwonę jak wariat, ale robił wszystko, by zaszkodzić i sobie, i jej.

— Nie... To było inaczej... Rzeczywiście nie zastałem Iwony w swoim mieszkaniu... Pojechałem z powrotem do Niewczasa... Jak mnie zobaczył, dostał niemal szału... Z szuflady biurka wyciągnął pistolet i zagroził, że go użyje, jeżeli nie zostawię go w spokoju. Próbowałem odebrać mu broń... Walczyliśmy... Gdy padł strzał, sam nie wiedziałem, co się dzieje... Niewczas osunął się na ziemię... Nie żył. Uciekłem stamtąd... Bałem się... że ktoś pozna po mojej twarzy...

„Podejrzewam, czego bałeś się naprawdę” — pomyślałem.

— To bardzo szlachetne, co pan robi, panie Gołdyń. Ale pan tej zbrodni nie popełnił! Niewczas żył jeszcze z pewnością około godziny zero dwadzieścia. A pan tam był godzinę wcześniej... Chyba że pan wrócił, ale to jeszcze wyjaśnimy... Gorzej, że pan nie wie, jak zginął Paweł Niewczas. Strzał oddano z daleka, nie zaś jak podczas szamotaniny — z bliska. Eksperci to ustalili. Pozostaje jeszcze kwestia broni... Wątpię, by Niewczas miał pistolet. Niby skąd? Sprawdzę to zresztą... Zastanawiam się natomiast, skąd wytrzymała broń Iwona... Bo pan przecież też obawia się, że to ona zabiła Pawła, nieprawdaż?!

# Cóż wiemy o miłości

---

*Tego samego dnia, późnym popołudniem*

Iwona Bogusz powinna być tego popołudnia obecna na próbie kabaretu „Maligna”. Tak mnie przynajmniej poinformowali ludzie dobrze zorientowani.

Kabaret miał swą siedzibę w jednej z piwnic na Rynku Nowego Miasta. Gdy tam dotarłem i wyjawilem nieprzyjaznemu ludziom cerberowi cel mojej wizyty, niechętnie wyjaśnił mi, że, istotnie, pani Iwona jest na sali. Nie sprzeciwił się też specjalnie memu wejściu do środka.

Niewielka, stylowa autentycznością wnętrza sala spowita była w półmroku. Kilkadziesiąt krzeseł, ustawianych obecnie bez ładu i składu, skutecznie tamowało drogę ku niewielkiemu proscenium, na którym trzeczn znanych warszawskich aktorów w asyście „fizycznych” mocowało właśnie sporych rozmiarów kukłę z głową ostrzyżoną na jeża. Rysy kukły były mi znajome nie mniej niż aktorzy na proscenium. Gdyby nie wyraźny zamysł karykaturalny scenografa, odrcal-niający tę twarz, można by było rzecz całą poczytać za prowokację, na co notabene nie miałem w tej chwili « najmniejszej ochoty.

Zapytałem jakiegoś przechodzącego faceta o Iwonę. Objął mi, jak trafić do położonej na piętrze małej kawiarenki i pognął w swoją stronę.

Iwona siedziała w ciemnej salce przy barze i już w chwili, gdy się z nią witałem, zauważyłem, że czasu na wysokim stołku nie zmarnowała.

— Wiedziała, że milicja prędzej czy później do tego kabaretu zawita — stwierdziła, obejmując dłońmi sporych rozmiarów koniakówkę, wypełnioną w jednej trzeciej płynem koloru bursztynu. — Pan sam czy od razu z ekipą?

— Myślę, że ekipa nie będzie potrzebna. O ile, oczywiście, wykaże pani minimum rozsądku.

— Ciężko będzie... to u schyłku lat siedemdziesiątych deficytowy towar...

— Mam resztówkę, została mi po rodzicach. Chętnie służę.

— Nie pożyczam. Mogę nie mieć z czego oddać — wysączyła do dna kieliszek i sięgnęła po papierosa.

— Proszę to potraktować jako wieczystą darowiznę.

Zamówiłem wermut z lodem. Wyraźnie jej się to nie podobało.

— Niech pani nie zapomni, pani Małgosiu, o dużej ilości wody sodowej. Ten pan jest na służbie — powiedziała do barmanki. Ta roześmiała się promiennie.

— Zwykle sam staluję sobie drinki — odparłem, czując, że czerwienieję z wściekłości. — Czekam na panią w hallu. Pięć minut. Potem zarządzam doprowadzenie pani do stołecznej.

Zostawiłem nie tkniętą szklanę z wermutem na kontuarze i zszedłem do hallu. Czekałem coś około pięciu minut.

— Mogłam się oczywiście dać doprowadzić... Ale mam tu trochę roboty. Proszę się streszczać.

Usiedliśmy na wyściełanej kanapce przy wejściu do sali widowiskowej.

— Proszę mi jeszcze raz dokładnie opowiedzieć przebieg wydarzeń, które stały się pani udziałem w krytyczny wtorek, w dzień zabójstwa Pawła Niewczasa. Powiedzmy od późnego popołudnia.

Westchnęła. Zrobiła minę cierpiętnicy, ale, o dziwo, nie oponowała. Uznała widać, że uczynić zadość moim zachciankom to najlepsza recepta na pozbycie się mnie.

Zaczęła swoją historyjkę jeszcze raz. Mniej więcej po dwóch minutach przestałem jej słuchać. Z dołu, z sali widowiskowej, dochodziły o wiele ciekawsze teksty. Widocznie próba już się zaczęła. Znany dobrze z radia i telewizji głos przestrzegał przyszłych widzów przed omijaniem sklepów komercyjnych. Wykonawca, świetnie naśladowując styl popularnych prezenterów zachodnich rozgłośni typu Radio Monte Carlo, na melodię kilku popularnych obecnie przebojów, wyśpiewywał co chwila słowo „połudwica”, bawiąc się nim i wyszukując coraz to inne, zabawne skojarzenia językowe.

— Wystarczy — przerwałem wreszcie monolog Iwony. — O której zjawiała się pani w mieszkaniu Grzegorza Gołdynia?

— Co? — jej zdumienie było prawie autentyczne. — Nie byłam tam wcale tego dnia.

— Gołdyń zeznał coś innego. Zakłęła z pasją.

— Czego pan chce?! — rzuciła z furją.

— Szczerej odpowiedzi na kilka pytań. Potem zobaczymy. Informuję panią, że na fałszywe zeznania jest odpowiedni paragraf. Sam nie wiem, co mnie powstrzymuje przed jego zastosowaniem.

— Dobrze, niech pan pyta — miała już chyba dość udawania.

— Proszę mi opowiedzieć o pani związku z Gołdyniem.

— Co tu opowiadać? Był inny, normalny. Właściwie na niczym mu nie zależało. I był wolny. Robił tylko to, co go rzeczywiście pasjonowało. Jeżeli nie miał nic do powiedzenia — milczał...

— Nie myślała pani nigdy, że być może nie miał innego wyjścia? — przerwałem jej. — W końcu był w jego życiu okres, kiedy mu się wiodło i wtedy nie był taki czysty i wolny. Był normalny, jak to pani powiedziała, więc chciał uznania i powodzenia. Niewczas mu tu nieco pomieszał szyki. On potrafił patrzeć inaczej, głębiej...

— Powiedziałabym raczej, że starał się mieć monopol na rację, na prawdę. W końcu Grzesiek podpisał ostatecznie umowę na dużą rzecz. Tego nie dadzą zrobić byle komu. A Paweł, cóż dyskutował tylko swe dobre pióro. Robił wciąż to samo i tak samo.

— Tak mi się właśnie wydawało. On się pani po prostu znudził. Utrzymywał się wciąż w niezłej formie i to wszystko. Ale największe, najlepsze rzeczy miał już poza sobą. Mógł się co najwyżej nadal dobrze bawić przy gitarze, świecach, bateriach butelek i tak zwanych wyemancypowanych dziewczynach. To zdawało się pani mało interesujące.



— Powinłam się właściwie spodziewać, że wcześniej lub później wylezie z ciebie kołtun — nieoczekiwanie przeszła na „ty”, jak podczas pierwszej naszej rozmowy. — Czy przypadkiem nie rozmawiałaś na temat życia Pawła z jego dozorczą?

Trochę mnie trafiła, a ja nie umiałem widać tego ukryć. Obserwowała mnie uważnie i teraz wybuchnęła szczerym, wesołym śmiechem.

— Coś ci opowiem, poruczniku. Zdarzyło mi się kiedyś przyjść do Pawła wcześniej, niż byłam z nim umówiona. Nie zastałam go w domu. Czekałam pod drzwiami i wtedy nawinął się Koliński. Zapraszał do siebie, mówił: „po co czekać pod drzwiami”... W pokoju, na stole, zobaczyłam napoczętą butelkę wódki. Cię przyniósł drugi kieliszek, zaproponował nawet herbatę. Czemu nie, pomyślałam, zawsze to lepsze niż beznadziejne tkwienie na schodach. Po drugim czy trzecim kieliszku cię zaczął się spoufalać, przysiadł się bliżej, całował rączki i wyraźnie miał ochotę na więcej. W chwili, gdy nie ulegało wątpliwości, że nie uważa się za gorszego od innych i ma zamiar wyciągnąć z tego przekonania praktyczne konsekwencje, dałam mu po prostu po mordzie. Zaczął się stawiać, próbował przewrócić mnie na stojące obok wyrko... Powiedziałam mu wtedy, że natychmiast opowiem o wszystkim Pawłowi. Przestraszył się. Wyobraź sobie, że ten cię czytał artykuły Pawła. Uważał go za takiego trochę ustosunkowanego wała, mocnego głównie w piórze. Wyszłam stamtąd wkurwiona do granic możliwości. Po jakimś czasie nadszedł Paweł, ale nic mu nie powiedziałam, uspokoiwszy się doszłam do wniosku, że nie potrzeba. Teraz już, mam nadzieję, rozumiesz, na czym polega wartość ocen moralnych, serwowanych przez Kolińskiego.

Milczałam, wściekły, że któryś tam raz w życiu zawiódł mnie własny system myślenia i własna skala wartości.

— Wszystko, co tu powiedziałaś — odezwałem się wreszcie — nie zmienia faktu, że twój stosunek do Pawła i Gołdynia, zwłaszcza ostatnio, nacechowany był po prostu brzydkim wyrachowaniem. Gołdyń wpływał, warto się było go trzymać. To jednak było coś nowego. Perspektywy całkiem niezłe. I tylko to dziecko z Pawłem...

— Wiesz i o tym? Biedny Grzesiek... Ale to mi nawet ułatwia. Myśl sobie, co chcesz, ale ja Pawła nie zabiłam. Mimo że przez niego coś mi lam popękało... Co za syf: spowiadać się glinie! — spuściła głowę.

— A jednak sądzę, że to właśnie ty go zabiłaś. Być może do spółki z Gołdyniem. Wiele faktów na to wskazuje. Choć jest i inne rozwiązanie. Fakt, iż ukryłaś swe spotkanie z Gołdyniem, może nasuwać przypuszczenie, że twoja ostatnia wizyta u Niewczasa w krytyczny wtorek nie miała miejsca kilkanaście minut po jedenastej w nocy, ale nieco ponad godzinę później, już we środę. Nie podoba mi się bowiem fakt, że zamiast stworzyć Gołdyniowi alibi na czas krytyczny, w ogóle zaprzeczasz temu, że go tego dnia widziałaś. A może wróciłaś do mieszkania Niewczasa i znalazłszy go zabitego, pomyślałaś, Ze sprawcą tej zbrodni jest Gołdyń? Jest to o tyle zabawne, że on w duchu oskarża o nią ciebie. Przyznał się dziś rano, że obawia się bardzo, iż taka właśnie jest prawda. I jeżeli nie udowodnisz mi przekonująco, że tak nie jest, ja również zacznę w to wierzyć...

W tym momencie zdałem sobie sprawę, że swój wywód postawiłem niejako na głowie. Ona nie musi mi nic udowadniać i ryzykuje tylko poszlakówkę. Ja muszę udowodnić jej wszystko...

Gdy opuszczałem siedzibę kabaretu „Maligna”, na małej scenie czterech zabitych facetów siedziało właśnie przy pustawym cokolwiek stole, grzebiąc widelcami w pustych talerzach i śpiewając unisono znany niegdyś przebój „Trubadurów”: *Cóż wiemy o miłości*. Z pluszowej zastawki w tle proscenium patrzyła na nich wisząca kukła, ostrzyżona na jeża.

# Każdy trop jest dobry

---

*Piątek, wieczorem*

Z Rynku Nowego Miasta udałem się prosto do Pałacu Mostowskich. Okazało się, że nie było dla mnie żadnych nowych wiadomości. Miałem nadzieję, że El Iman uwinie się z odpowiedziami na pytania, o które go prosiłem, ale widać przeceniłem go. Balował już z pewnością na jakimś bankiecie, dzieląc się ze znajomymi sensacyjną wiadomością, że niegdysiejszy „dobrze się zapowiadający” członek środowiska założył milicyjny mundur.

Od dyżurnego dowiedziałem się jedynie, że szef dopytywał się o mnie tuż przed końcem urzędowania. Wychodząc prosił o telefon bez względu na porę. Zadzwoiłem więc do Janisza, pora wydała mi się przyzwoita, a lekki impas, jaki zapanował w prowadzonej przeze mnie sprawie, domagał się zdecydowanie „wymiany doświadczeń”.

Janisz nie zastanawiał się długo. Kazał przyjeżdżać. Mieszkał niedaleko, więc po niecałej półgodzinie siedzieliśmy przy naprawdę dobrej herbacie i średniej klasy społemowskich krakersach. Opowiedziałem mu bardzo szczegółowo wszystko, co wydawało mi się ważne w obchodzącej nas sprawie. Zażądał opowiedzenia także i tego, co wydało mi się nieważne. Z tym miałem trochę kłopotu, ale jakoś dałem sobie radę. Chwilę myślał intensywnie, gryząc krakersy.

— Coś niecoś już masz, ale obawiam się, że jak zaczniesz to wszystko wyjaśniać, okaże się, że w wielu pozornie tajemniczych faktach nic ma nic, co mogłoby cię interesować. Zdarza się tak wcale nierzadko. Trochę mi, widzisz, to ukrywanie pewnych rzeczy na siłę trąci zabawami wprawdzie niezbyt czystymi i legalnymi, ale jednak dalekimi od obszarów naszego zainteresowania. Ważne powiązania nie dają się odsłonić tak łatwo, są zazwyczaj staranniej strzeżone.

— Nie można jednak wykluczyć wolnej gry zdarzeń, przypadków i innych podobnych zjawisk — wtrąciłem.

— Masz rację, Artysta, ale to jeszcze nie na tym etapie. I dlatego, moim zdaniem, o wiele ważniejsze, a z pewnością ciekawsze, są informacje, które ty traktujesz drugoplanowo. Na przykład sprawa Wilczka.

— Obywatel major żartuje? — siedzący we mnie diabeł dał na chwilę znać o sobie. — Wilczek? To dla mnie klasyczna ślepa uliczka. Ellman powiedział przecież w pewnym momencie, że jak patrzy po ludziach, widzi samych podejrzanych. Nie-wczas w końcu działał parę lat, miał okazję przyłożyć niejednemu. Ale Wilczek? Autor kryminałków?

Janisz chwilę patrzył na mnie, nie bardzo wiedząc, jak zareagować. To, co powiedziałem, wyraźnie nie zgadzało mu się z prawdami, do których przywykł.

— Każdy trop jest dobry, jeżeli dokąś prowadzi — wygłosił wreszcie kanoniczną milicyjną formułę. — Jak nim dojdiesz do końca i stwierdzisz, że to pudło, wtedy zgoda. Ale wcześniej — żadnego sugerowania się. Co sądzisz na ten przykład o Kolińskim?

Poczułem, że za chwilę szczęka opadnie mi do samej ziemi.

— Dziwisz się? Przecież zatarg pomiędzy nimi mógł mieć miejsce. Ta Iwona gada dużo, ale to, co mówi, powinieneś brać bardzo ostrożnie. A jeżeli Niewczas wiedział o cieciowych zalecankach?

— Przepraszam, majorze, ale ten motyw zupełnie mnie nie przekonuje. Znałem Pawła Niewczas...

— A mord w afekcie? W czasie bójki? Co, ofiara nie pasuje ci psychologicznie? Czy zastanawiałeś się, do jakich rzeczy zdolni są faceci ogarnięci szałem? Zwykłą, dziką złością? W końcu techniczne możliwości Koliński miał chyba najlepsze...

Dałem spokój zastrzeżeniom i protestom. Być może szef miał rację, ale ja byłem na nią dokładnie za-impregnowany. Na odchodnym Janisz powiedział: — Postaraj się jutro poniuchać nieco wokół tego Wilczka. Delikatnie, ale dokładnie. Bez ślizgania się. I więcej operatywności, Artysta! Nie pozwalaj się wodzić za nos. W końcu znasz trochę tych ludzi i ich mentalność. Wykorzystaj to!

Obiecałem zastosować się do rad i wskazówek i opuściłem mieszkanie szefa. Znalazszy się na ulicy, spojrzałem na zegarek. Było wpół do dziesiątej. Schemat. powieściowy: „detektyw nie do zdarcia” zaczynał powoli wcielać się w życie, Postanowiłem jak najszybciej znaleźć się u siebie.

## Nie boję się recenzentów

---

*Sobota, przed południem*

Daną szefowi obietnicę potraktowałem niezwykle poważnie, bo gdy tylko znalazłem się w swoim pokoju, zacząłem rozmyślać nad tym, jak by tu poniuchać wokół autora kryminałków.

Po dłuższym namyśle doszedłem do wniosku, że zlecenie zbierania informacji, szperania w archiwach, wreszcie analiza tego wszystkiego, zabiorą mi zbyt wiele czasu. Taki portret psychologiczny zrobiony na podstawie papierzyskowych danych wydał mi się mało przekonujący i równie mało przydatny. Zdecydowałem się wziąć byka za rogi. Co nieco o Wilczku wiedziałem w końcu od Piotra Olgierda. Reszty postanowiłem dowiedzieć się sam.

Wilczek mieszkał w okolicach Parku Kultury na Powiślu. Gdy zadzwoniłem pod jego prywatny numer, najpierw okazał autentyczne zdziwienie, potem się lekko zaniepokoił. Wyjaśniłem, że chodzi o formalność, o chwilę rozmowy. Zgodził się, acz bez entuzjazmu, przyjąć mnie u siebie o wpół do jedenastej.

Na miejscu byłem punktualnie, czego nie omieszkał zauważyć, podkreślając, że jest zapracowany, że gonią go terminy. Wprowadził mnie do wielkiego, widnego, urządzonego wygodnie, ale tandetnie pokoju. Zdjął z ręki zegarek, położył go na stoliku, przy którym usiedliśmy, i od niechcenia zapytał, czym mnie może poczęstować. Miałem ochotę wymyślić coś wyrafinowanego, ale zaraz mi przeszło. Facet zachowywał się z taką wyższością i pewnością siebie, że skrócenie tej wizyty do minimum leżało także w moim interesie. Tym bardziej że i fizys gospodarza nie mogła, niestety, wzbudzić zachwyty.

Był stary, a przynajmniej na takiego wyglądał. Poruszał się ze śmieszna godnością, trzęsąc bez przerwy małą, okrągłą głową z gęstym, siwo-czarnym owłosieniem na samym jej wierzchołku. Wysoka, tykowata

sylwetka podkreślała ogólne wrażenie ociężałości. Całość tworzyła zdecydowanie komiczny obraz. Z trwożą czekałem, czy facet nie zacznie się przypadkiem ślinić lub czkać nerwowo.

— Może zechce mi pan łaskawie wyjawić, w jakim celu zabiera mi pan czas — rzucił piskliwym głosem po chwili przeciągającego się milczenia.

— Czy zna pan Pawła Niewczasa? — spytałem wprost.

Otworzył usta w niemym zdziwieniu i trwał tak przez dłuższą chwilę.

— Nie da się ukryć, że znam tego pana, ale co może mieć do tego milicja?

— Niewczas nie żyje. Zamordowano go w nocy z wtorku na środę.

Jego drgawki jeszcze się wzmogły. Wielkimi, kościstymi dłońmi objął mocno poręczę fotela, w którym siedział.

— Zamordowano Niewczasa? No dobrze, ale co ja mogę mieć z tym wspólnego? W końcu mój z nim — że tak powiem — stosunek miał charakter czysto zawodowy. Nie wiem, czy zetknąłem się z nim osobiście więcej niż raz czy dwa...

— W pewnych sytuacjach to wystarczy, żeby kogoś zniechęcić — przerwałem mu.

— Używa pan mocnych słów, młody człowieku, i to chyba dość pochopnie. Ostatecznie z racji zawodu, jaki uprawiam — nie wątpię, że wie pan, co robię — mam dość częste kontakty z milicją... na różnych zresztą szczeblach...

Żaden z rasowych śledczych, których znam, nie użyłby słowa „nienawiść” w tym miejscu. Są inne słowa, zupełnie dobre. Na przykład niechęć. Tak bym określił swój stosunek do pana Niewczasa. Będzie się pan starał udowodnić, że niechęć może być przyczyną zbrodni? Świat byłby wówczas zaludniony o wiele rzadziej... Hy, hy, hy...

— Ja przecież nie powiedziałem, że pana podejrzewam — przerwałem mu ponownie.

Umilkł i zakołysał się niespokojnie w fotelu.

— Proszę ze mną nie prowadzić takich gier. Jestem na to za stary. Na kilometr znać, do czego pan zmierza.

— Zmierzam przede wszystkim do tego, by dowiedzieć się od pana czegoś o zamordowanym. W końcu miał pan z nim jakieś kontakty. A i niechęć, o której był pan uprzejmy wspomnieć, niezmiernie mnie interesuje. Jako autor powieści kryminalnych orientuje się pan zapewne, że przy rozwiązywaniu zagadki morderstwa w pierwszej kolejności szuka się motywu.

— Już panu powiedziałem — uspokoił się nieco, ale nadał był wewnętrznie poirytowany — że moje kontakty z Niewczasem właściwie nie istniały. Czasem zdarzało mi się mieć w ręku recenzje jego pióra z moich książek. To wszystko.

— „Czasem” to łagodne określenie. Wiem skądinąd, że Niewczas miał do czynienia z pańskimi tekstami dość regularnie. Wiem też, że nie były to kontakty przyjemne. Mówiąc oględnie, nie cenił pańskiej twórczości.

— Mało mnie to obchodziło — pisał z irytacją. — Wydałem ponad trzydzieści powieści kryminalnych, kilkanaście z nich zostało przetłumaczonych. Pokraczny cokolwiek gust redaktora Niewczasa nie mógł temu przeszkodzić. Niech pan mi pokaże jedną moją książkę, leżącą na ladzie<sup>^</sup>

— W sytuacji, gdy wybór jest niewielki... Zna pan chyba to porzekadło o bezrybiu?

Czułem, że zaczyna mnie ponosić, choć wiedziałem, że nie wolno mi przekroczyć pewnych granic.

— Pan, widzę, reprezentuje ludzi tego samego pokroju, co zmarły Niewczasa. Marzą się wam: wolna konkurencja, parlamentarne burdy i zasada „wszystkie chwytły dozwolone”. Żyjecie w świecie iluzji, niewczesnych mrzonek...

— Wyobrażam sobie, jakby się pan zmartwił, gdyby to wszystko któregoś dnia stało się tu, nad Wisłą, faktem...

— Proszę zostawić moje zmartwienia w spokoju. Dałbym sobie radę. Do tej pory wychodziło mi to całkiem niezgorzej.

— Ale ostatnio pan zniknął. Nie było pana widać. Nie pojawiał się pan tam, gdzie zazwyczaj pana widywano.

— Zasięgał pan informacji? — zaniepokoił się i zdziwił równocześnie.

— Trochę. Interesują mnie ludzie, którzy mogli nie lubić Niewczasa, I to, że pana ostatnio nie było widać, też mnie ciekawi...

— Pracowałem — przerwał mi, podnosząc głos w hamowanej pasji. — Mam wiele zobowiązań. Poza tym wyjeżdżam w najbliższym czasie na symposium do Francji, gdzie mam wygłosić referat. Nie wiem, czy pan to rozumie, ale takie rzeczy mogą być ważniejsze niż przesiadywanie w knajpach i wystawianie się na strzał ciekawskich w rodzaju Niewczasa. To był właśnie taki kawiarniany krytyk. Pogapił się, poplotkował, a potem siadał do maszyny.

— I czasem tym, co pisał, przysparzał sporo kłopotów...

— Nie mnie. Powiem panu coś, co może otworzy panu oczy. Te wszystkie książki — tu wskazał na półkę, wiszącą na ścianie w pobliżu wielkiego stylowego biurka — ukazały się drukiem bez większych kłopotów. Lwia część z nich miała złe recenzje różnych naprawiaczy świata. A mimo to wyszły i rozeszły się, I wszyscy byli zadowoleni.

— Z wyjątkiem, zapewne, czytelników. Znam kilka tekstów, unaoczniających tę prawdę dość jednoznacznie.

— Nie boję się recenzentów! Wiem, co i jak mam robić. Powieść kryminalna u nas to nie artystowskie zabawki. Ma ona do spełnienia kilka wyraźnie określonych funkcji pozaliterackich. Moje książki te funkcje spełniają. I dlatego się je drukuje, choć nie wszyscy muszą je lubić i czytać. Zresztą, jak powiedziałem, są czytane. Ba, zaczytywane.

— Zastanawiam się — powiedziałem wiedząc, że wykipi ze złości — czy pan naprawdę nie orientuje się, jak to wygląda. To, że się książki rozchodzą, nie świadczy o ich poziomie, a przynajmniej nie zawsze. W sytuacji głodu książki ludzie kupują prawie wszystko. Przyzna pan zaś, że to niezbyt uczciwe: wykorzystywać koniunkturę na łatwiznę, na niedostatki, pisać wiedząc, że egzystuje się na rynku dlatego, że akurat nie ma nikogo lepszego?

— To są po prostu impertynencje! — wykrzyknął tupiąc nogami po tandetnym, nowobogackim dywanie. — Pan tego pożałuje!

— Nie sędzę! — rzuciłem mu bezczelnie w twarz.

Zamilkł. Przyglądał mi się chwilę uważnie, zdziwiony, że nie może mnie nastraszyć.<sup>^</sup>

— Proszę bardzo, niech mi pan pokaże takiego, który postępuje inaczej, który nie wykorzystałby szansy, która mu się zdarza.

— Tak się składa, że znam jednego takiego faceta. Jak nie miał nic do powiedzenia, po prostu milczał i pracował, żeby udowodnić, że stać go na więcej.

— Proszę mi powiedzieć, kto to taki! Bardzo jestem ciekaw.

— Czy mówi coś panu nazwisko Grzegorz Gołdyń?

Przez sekundę sprawiał wrażenie, jakby nie dosłyszał. Następnie zaczął chichotać, szczerząc obrzydliwe, pożółkłe i wielkie jak u konia zęby. Po jakimś czasie opanował się.

— To paradne, doprawdy! Gołdyń! Kiedyś założył się, że uwiedzie dziewczynę, związaną z kimś, kto pana powinien interesować. Założył się, uważa pan...

— Rozumiem pańska niechęć, ale w to, co pan powiedział, po prostu nie wierzę.

— Pańska sprawa. Wskażę panu kogoś, kto potwierdzi, że Gołdyń jakieś pół roku temu założył się po pijanemu, że odbije Pawłowi Niewczasowi tak zwaną w ich środowisku narzeczoną. To aktorka, może pan ją zna...

Przez chwilę siedziałem i nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. Wszystko, co mi się ostatnio zdarzało, ludzie, których poznawałem, okazywali się postaciami z męczącego snu.

— Bardzo ładnie, panie Wilczek. Wróć jednak do konkretów. Załóżmy, że nie przekonał mnie pan, iż nie miał najmniejszych motywów, by nienawidzić Niewczas. A on został zamordowany w nocy z wtorku na środę, krótko po północy. Gdzie pan wtedy był?

Popatrzył na mnie z nie skrywaną odrazą i powiedział:

— Jest pan takim samym fanatykiem jak Niewczas. Klapki na oczach, głuchota na wszelkie argumenty, które są dla pana niewygodne. Ale powiem panu, gdzie byłem i co robiłem. Grałem w brydża z trójką znajomych. Potwierdzą to panu z całą pewnością. Skończyliśmy gdzieś około drugiej nad ranem. Zapisze pan sobie ich dane, czy jest pan genialny i nie robi notatek?

Nie byłem genialny, przynajmniej w tym sensie, w jakim rozumiał to Wilczek. Zanotowałem nazwiska i adresy kompanów brydżowych Roberta Wolfie i pożegnałem się chłodno.

W komendzie czekały na mnie dwie interesujące wiadomości. Po pierwsze Iwona Bogusz wydawała się osobą rzeczywiście niewinną. Dyskretny wywiad w środowisku jej znajomych ujawnił, że w porze, w której zamordowano Pawła, znajdowała się w jednej z willi na Górnym Mokotowie. Spędziła tam noc i czas do południa dnia następnego. Jej niechęć do ujawnienia miejsca pobytu stała się jasna, gdy wywiadowcy z mokotowskiej komendy dzielnicowej złożyli mieszkańcom owej willi cokolwiek niespodziewaną wizytę. Okazało się bowiem, że właściciel chętnie przyjmuje u siebie ludzi lubiących mocne wrażenia, ułatwiane przez

zażywanie rozmaitych środków odurzających, tak rodzimych, jak i importowanych. W razie braku lako-  
wych, amator podróży na drugi brzeg tęczy mógł się tam o każdej porze dnia i nocy zaopatrzyć w „trawkę”,  
zwaną przez specjalistów po prostu marihuaną.

Druga informacja pochodziła od Piotra Olgierda Ellmana. Okazało się, że kapitan Żak rozmawiał po-  
przedniego popołudnia u „Dziennikarzy” z kierownikiem literackim „Kreacji” w sprawie publikacji... swo-  
ich opowiadań o tematyce psychologiczno-obyczajowej. Rozmowy napotykały trudności, talent Żaka nie  
należał do najwyższych, ale Rysio obiecywał, że będzie nad sobą pracować.

## Tajemniczy amator dobrych papierosów

---

*Tego samego dnia, po południu*

Wiadomości dostarczone mi zarówno przez kolegów z Mokotowa, jak i przez Ellmana, dobiły mnie zu-  
pełnie. Toteż gdy dyżurny, wszedłszy do pokoju, położył mi na biurku gruby pakiet, opatrzone pieczęciami  
Zakładu Kryminalistyki KGMO i zawierający wyniki ekspertyz i badań śladów, utrwalonych w mieszkaniu  
Pawła, odczułem w sposób niewątpliwy, że w tych warunkach z pewnością wiele pożytku z tej lektury nie  
będzie. Odrobina relaksu i zmiana otoczenia, choćby na krótko — oto czego mi było potrzeba.

Zapakowałem otrzymane materiały do torby i pogwałciwszy kilka służbowych przepisów, wyszedłem  
na ulicę. Na placu Dzierżyńskiego wsiałem w „B” i przesiadłszy się w Wilanowie, po mniej więcej trzech  
kwadransach znalazłem się w Powsinie.

Była pełnia jesieni. Słońce serwowało właśnie resztki ciepła w dawkach, dających się zdecydowanie lu-  
bić (nie znosiłem upałów i ostrego słońca na wściekle lazurowym niebie), niewysokie, rozłożyste sosny  
pachniały w sposób właściwy schyłkowi września. Pomyślałem, że jeżeli do tego wszystkiego położony na  
wysokiej skarpie letni bar wśród sosen będzie czynny i — w co trudno już po prostu uwierzyć — będzie tam  
można dostać piwo, znajdę tu na kilka godzin wszystko to, o czym myślałem, opuszczając jazgotliwe cen-  
trum Warszawy.

Widocznie dzień ten, w przeciwieństwie do kilku poprzednich, miał być moim, bo w czynnym i zupeł-  
nie pustym barze dostałem nie tylko piwo, ale nawet flaki, wprawdzie obowiązkowe (konsumpcja), ale jed-  
nak.

Rozsiadłem się wygodnie przy stoliku, stojącym pod grubą rozłożystą sosną. Skonsumowawszy nie bez  
przyjemności zawartość niewielkiej miseczki, sięgnąłem po papierosa i dopiero wtedy, gdy wszystkim rytu-  
alnym czynnościom stało się zadość, skosztowałem piwa, a stwierdziwszy, że jest zdecydowanie niezłe,  
zająłem się lekturą zabranych materiałów.

Daktyloskopowie znaleźli na butelkach po piwie odciski palców gospodarza, a także Iwony Bogusz i  
Gołdynia. Tu obyło się więc bez niespodzianek, czego nic można powiedzieć o zawartości popielniczek.  
Obok bowiem palonych przez Niewczasa carmenów i marlboro ze śladami pomadki do ust (Iwona) jedna z  
popielniczek zawierała dwa niedopałki amerykańskich papierosów kent. Jednego z nich dopalono zaledwie  
do połowy, więc z ustaleniem marki nic było kłopotów.

A więc u Pawła był tego wieczoru jeszcze ktoś, o kim nie wiedziałem. A to źle. Byłem oczywiście jak najdalszy od genialnych powieściowych dedukcji w stylu: te niedopałki z pewnością zostawił morderca, ale przypuszczałem w duchu, że przebieg krytycznego wieczoru w mieszkaniu Pawła mam jako tako rozpracowany. Zresztą tak na dobrą sprawę nie mogłem dać słowa honoru, że rzeczywiście kentów nie palił morderca Niewczasa i jeżeli coś mi w tym wszystkim nie pasowało, to to, że nie wierzę w morderców zostawiających pety na miejscu zbrodni. Temu, kto zabił Pawła, udało się na przykład znaleźć lukę czasową, o co tego wieczora było niezwykle trudno, u Niewczasa prawic nie zamykały się drzwi, a facet chyba nie mógł ryzykować, że ktoś go tam zobaczy.

Wróciłem do lektury materiałów. Ale znalazłem w nich jeszcze tylko jedną interesującą informację: na opuszkach palców zamordowanego i za paznokciami obu rąk odkryto niewielkie ilości farby drukarskiej. Sądząc po wielu otarciach naskórka, Niewczas próbował usunąć je, ale skutek był połowiczny.

Schowałem ekspertyzy do torby. Trzeba będzie rozejrzeć się za miłośnikiem dobrego, choć drogiego palenia. Było to o tyle ważne, iż od chwili, gdy znalazłem informację o kentach w materiałach zakładu kryminalistyki, nie opuszczało mnie niejasne przeczucie, że gdzieś niedawno te papierosy w eleganckich, złotych pudełkach widziałem i byłem pewien, że miejscem tym nie była wystawa „Pewexu”.

Postanowiłem wracać. Postanowienie niezbyt miłe, ale inne nie wchodziło — zdaje się — w rachubę. Zdecydowałem jednak, że nie wsiądę po prostu do autobusu. Znałem z wcześniejszych lat, kiedy to stać mnie było na włączenie się po najdziwniejszych zakamarkach, drogę, prowadzącą z Powsina na peryferie Ursynowa. Wiodła ona wśród olbrzymich sadów, a na pewnym odcinku prowadziła wzdłuż parku natolińskiego. Droga tą można było dostać się na pętlę autobusu, zawożącego do miasta. To mi właśnie odpowiadało. Powrót do zakopconego centrum opóźnił sobie o małą godzinkę. A co!

Siedziałem jeszcze w swoim pokoju w komendzie, piłem kawę i przeglądałem papiery, gdy wszedł. Nie znałem go, ale gdy się przedstawił, szczeka mi nieco opadła i pomyślałem, że chyba trzeba wstać zza biurka. W końcu był nieco wyższy stopniem.

— Podobno penetrujecie ostatnio środowisko literacko-artystyczne...

— Zgadza się, choć to za mocno powiedziane. Rozglądam się.

— Ja też się tak rozglądam. Tylko że znacznie dłużej. Nudzi mi się.

— Nie jest to chyba szczególnie przykre? Częste zmiany, przygody, szampańskie zabawy, panienki...

— Nie wolno.

— No, to trudno. Ale i lak zabawnie.

— Jak kiedy. Ale wielu rzeczy można się nauczyć. I na niejedno napatrzeć.

— Jakbyście mieli ochotę poopowiadać... Co macie?

— Najnowszą książkę niejakiego Dionizego Kwapisza. Ładnie się nawet nazywa: *Mnie ta ziemia od innych droższa...* To cytat.

— Wiem. Z Broniewskiego. Ale książki nie znam.

— To niedobrze. Nie jesteście *au courant*, poruczniku.

— A muszę? — spytałem trochę niegrzecznie.



— Na razie jeszcze nie — odparł spokojnie. — Ale to przyjdzie. Jak się dystynkcje zmieniają...

— Wam się chyba zmienia szybciej. Już jesteście — jak wnioskuję — *au courant*.

— Muszę. To mój obowiązek służbowy.

— Rozumiem. A więc co z tym Kwapiszem?

— Wieszcz. Lektury prawie obowiązkowe. Duże nakłady, duży szum, duża, dobra prasa — tylko czytelników niedużo...

— Zdarza się.

— Nie wymagajmy za wiele. Temat się Uczy. A Kwapisz tematy ma jak trzeba. Burzliwe procesy dziejowe, przemiany społecznej świadomości, powikłane ludzkie losy, człowiek i historia... Krytyka chwali z obowiązku, jak się uda wskazać taki czy inny mankament — wszyscy się cieszą. Byle nic za dużo. Klasycy są pod ochroną.

— Krótko mówiąc — mistrz ma życie nielekkie?

— To przesada, są tacy, co mu te drobne przytyki rekompensują. Taki na przykład Jan Duda twierdzi, że to, co pisze

Kwapisz, to nowy wielki realizm ze wszystkimi konsekwencjami.

— Jan Duda? Nie znam. Kto to taki? Milczał i było to tak zwane milczenie znaczące.

— Chcecie mi wytłumaczyć, że Jan Duda miał na pieńku z Niewczasem? Ze toczyli śmiertelny w skutkach spór historycznoliteracki?

— Jan Duda to pseudonim — odparł niewinnie.

Zastanowiłem się.

— Jak znam, a właściwie znałem Pawła Niewczas, nie darowałby, nimby się nie dowiedział, kto zacz...

— Ciepło, ciepło — przerwał mi. — Mam informacje, że Niewczas w ciągu kilku ostatnich tygodni pasjami czytywał Jana Dudę. Wypożyczał teczki z jego tekstami i ślęczał nad nimi po parę godzin. Jan Duda pisywał do kilku czasopism regionalnych, choć i centralnych nie zaniedbywał, co to, to nie. W końcu otwieranie głów ludowi, kładzenie w nie prawd do wierzenia podanych — to mało. Liczy się Warszawa. Ale źródło informacji na wagę publicystycznego złota odkopał Paweł Niewczas nie w Warszawie, a w Opolu. Jeździł tam na kilkanaście dni przed owym fatalnym wieczorem. Mam mówić dalej?

— Jeżeli nie kosztuje was to zbyt wiele, chętnie wysłucham.

— Janowi Dudzie bardzo zależało na dyskrecji. Ale pewna panienska z opolskich „Odcieni” bardzo lubiła wysokich brunetów. Tym sposobem, poniósłszy pewne koszty towarzyskie i osobiste, Niewczas ustalił, że honoraria za eseje Jana Dudy przekazuje się na pewne konto w Warszawie. Podała mu tylko jego numer...

— Pewnie jakaś uczynna urzędniczka w warszawskim PKO też lubiła wysokich brunetów?

— Daleko zajdziecie, poruczniku Ryski.

— Mam się zrewanżować podobnym komplementem?

— Lubię, jak mnie doceniają. Konto w PKO okazało się kontem na hasło. Znał je tylko jeden człowiek — Adam Dumala.

Zapaliłem papierosa i dwoma haustami spaliłem go do połowy. Zrozumiał, że wymienione przezeń nazwisko nie jest mi obce.

— To ciekawy facet. Lubi odgrywać tolerancję i liberalizm, lubuje się w oracjach na temat otwartości i niezawisłości sądu krytycznoliterackiego...

— Wiem. Rozmawiałem z nim niedawno.

— Ale pewnie nie wiecie, że Jan Duda to nic jest jego jedyny pseudonim. Pisuje jeszcze fraszki i aforyzmy. Jest niezwykle płodny. Ostatnia jego książeczka, wydana przed trzema laty, nosiła t y tuł *Kac Dionizosa*. Można ją jeszcze kupić...

— Dlaczego nie mówicie mi rzeczy najważniejszej? Tego, że — zagrałem na całego — książki z fraszkami Dumaly...

— Apolinarego Sochy — wtrącił skromnie.

— ...że książki Apolinarego Sochy recenzował i opiniował do druku Dionizy Kwapisz, a Niewczas oczywiście całą tę grę od dawna przejrzał?

— Kwapisz nic nie opiniował i niczego nie recenzował. Czasami napisał o nich felieton w jakimś liczącym się piśmie. A czy Niewczas o tym wszystkim wiedział • nie wiem. Ale pewnie tak. On lubił wiedzieć. Taki już był.

Nie zdążyłem wyrazić mu swego uznania. Od dłuższej bowiem chwili pod czaszką tłukła mi się myśl, że kentami częstował mnie dwa dni temu naczelny redaktor „Nowin Wydawniczych”, Adam Dumala.

## O krok od rozwiązania

---

*Niedziela, w samo południe*

Już od pierwszego spojrzenia można było zorientować się, że Piotr Olgierd Ellman ma gigantycznego kaca. Twarz lśniła mu się jak gladiatorowi po ciężkiej walce o życie, oczy niemal zupełnie zapadły się wskutek niewyspania w oczodoły. Nie dające się ukryć drżenie rąk i koszmarny odór nie przetrawionego do końca alkoholu uzupełniały ten opłakany wizerunek człowieka cierpiącego.

Gdy wsiadłem do renóweczki, wszystko to zauważyłem w okamgnieniu. Toteż nie tylko z powodu ogromnej pasji do prowadzenia pojazdów mechanicznych, ale i z prostej obawy o własne życie kazałem mu zająć miejsce obok kierowcy, a sam usadowiłem się za sterami. Ellman nawet specjalnie nic protestował. Wyraźnie kona! z przepicia i było mu wszystko jedno.

— Gdzie jedziemy? — spytał.

— Co byś powiedział na małą przejażdżkę nad Zalew? Świeże powietrze, malownicze widoki — to koi, wierz mi.

— Niech będzie. Tylko jedź Wisłostradą, jeżeli ci to nic robi różnicy.

Ruszyłem ostro. Gdy już znaleźliśmy się nad Wisłą. Piotr Olgierd począł czegoś uparcie wypatrywać. Mijaliśmy właśnie most Gdański, kiedy z jego ust wydobyło się ciche westchnienie ulgi.

— Stań tu na chwilę — poprosił. Zatrzymałem się. Wsiadł i nieco chwiejnym krokiem skierował się w stronę niewielkiego, szklanego pawilonu z ogródkiem i parasolami, nad którymi dostrzegłem szyld — Bar „Syrenka”. W tym momencie zrozumiałem, zresztą leż tu nieraz bywałem. Nikt lubiący piwo nic może nie znać miejsca, gdzie można je zawsze dostać już skoro świt, co dla skacowanych oznacza okolice godziny dziewiątej rano.

Kolejka stała przy pawiloniku niewąska. Ocenilem ją na podstawie własnych doświadczeń na jakieś czterdzieści minut i opadła mnie najczarniejsza rezygnacja.

Nie doceniłem jednak Ellmana. Nie minęło więcej niż pięć minut, gdy ujrzałem go wracającego z sześcioma butelkami piwa, z których jedną zawzięcie opróżniał po drodze.

— Masz talent — stwierdziłem, gdy wsiadł. Normalnie, to ci czekający w kolejce chłopcy co najmniej obiliby ci mordę.

— Wtedy mieliby do czynienia z władzą — rzucił Piotr Olgierd zdrowszym już tonem.

— Chyba nie zawołałbyś na nich milicji?

— Po co wozic drzewo do lasu? — stwierdził filozoficznie. — Powiedziałem im po prostu, że ten pan, co siedzi za kierownicą, to porucznik, który mnie właśnie zdjął i pozwolił tylko zaleczyć kaca na poczekaniu. I wyobraź sobie, że nikt nic zaproponował...

Popatrzyłem na niego z zimną wściekłością, ale już po chwili dziki rechot sam zaczął mi podchodzić pod gardło. Na niego po prostu nie było mocnych!

Ruszyłem ostro i by wziąć odwet za jego nadużycie dobrego imienia organów ścigania, przycisnąłem mocno pedał przyspieszenia. Gdy po chwili strzałka szybkościomierza ustaliła się w okolicy liczby „120”, uznałem, że to na razie wystarczy. Ellman znowu trząśł się jak galareta, w chwilach moich cokolwiek ryzykownych manewrów zamykał oczy i opróżniał butelkę za butelką. Nie odzywał się ani słowem.

Gdy szybko i bez specjalnych problemów dotarliśmy do Białobrzegów, postawiliśmy wóz na parkingu i wyszukawszy wygodne miejsce nad wodą, usiedliśmy na pniu jakiegoś powalonego drzewa. Ellman przemówił:

— Rafał, obiecaj mi, swojemu staremu kumpłowi, że nigdy więcej nie poprosisz mnie...

— Powiedz mi, Piotrek — przerwałem mu — czy Paweł miał jakieś kontakty z drukarniami?

— Nie sędzę, ale wykluczyć tego nie można. Tylko po co?

— Gdybym to wiedział, nic pytałbym ciebie.

Zamyślił się na chwilę, co w sposób widoczny sprawiło mu fizjologiczną przykrość.

— Moim zdaniem Paweł nie miał czego szukać w drukarniach. Ale co ci właściwie chodzi po głowie?

— Na opuszkach palców i za paznokciami Niewczasa fachowcy odkryli niewielkie ilości farby drukarskiej. Próbował je usunąć — czyścił pumeksem, może szczotką, czy ja wiem? Ale niewielkie drobinę zostały.

— Nie mam pojęcia, co ci powiedzieć — odparł. — Piszę nie pierwszy rok, a nigdy w drukarni nie byłem. Gdyby to chodziło o depeszowca...

— Dobra, zostawmy to tymczasem. Co wiesz o Dumale?

— Klasyczny pozer. Taka prawie schizofrenia — tu co innego, tam co innego. Jak trzeba, rozumiesz? Zawsze jest taki, jak trzeba.

— Co robi poza tym, że jest naczelnym?

— Podobno publikuje jakieś dyrdymałki...

— Piotrusiu, musisz uaktualnić swoje informacje.

— O co ci, u diabła, chodzi? Nie jestem dziś w dyspozycji do rozwiązywania zagadek.

— To widać — odparłem krótko. — Znasz niejakiego Apolinarego Sochę?

— Osobiście nie. Fraszkopis. Dużo publikuje. Kiepsko pisze. Co ma piernik do wiatraka?

— Dumala i Socha to jedna i ta sama osoba. Socha to pseudonim, rozumiesz?

Gwizdnął przeciągle. Upił potężny łyk piwa.

— To ciekawe. Nie wiedziałem.

— Jak byś go ocenił finansowo na przykład?

— To nie jest, bracie, najważniejsze — Piotr Olgierd wyraźnie brał się w garść. — Na swoich fraszeczkach Dumala-Socha zarabiał z pewnością kupę szmalu, ale pies <nie tu jest chyba pogrzebany. Widzisz, „Nowiny...” uchodzą za pismo na pewnym poziomie. To rzutuje i na sylwetkę naczelnego. Ciekaw jestem, co by się stało, gdyby po mieście rozeszła się wiadomość, że szef „Nowin Wydawniczych” zajmuje się na co dzień prymitywnymi chałturami. Ciekawe, ilu autorów by to pismo straciło...

— Nie przesadzasz?

— Może trochę, ale draka byłaby na całego.

— No to dowiedz się jeszcze, że ten sam Dumala, tym razem jako Jan Duda,

krytyk opiniotwórczy, forsował od lat pozycję Dionizego Kwapisza...

— Żartujesz?! Czytałem kilka jego tekstów o Kwapiszu. Wazelina, aż się mdło robi. Ale nie miałem pojęcia... Wiesz, co ci powiem, Rafał? To, co mi dziś powiedziałeś, każe mi podejrzewać, że to jest pierwszy poważny motyw w tej sprawie. O ile oczywiście Niewczas miał z tym wszystkim coś wspólnego.

— Miał, to akurat wiem. Rozszyfrował niedawno Jana Dudę. Pewna panienska powiedziała mu, co trzeba.

— No to wydaje mi się, że jesteś w domu. Stary, to jest bomba! Byłby skandal jak cholera!

— Czy jestem w domu, to się dopiero okaże po przesłuchaniu Dumały. Ma wezwanie na jutro, na trzecią. Ale mam na niego kilka mocnych poszlak. A ty, Piotrek, już o tym wszystkim zapomniałeś. Rozumujemy się?

Zapadła cisza, macona tylko nieustannym pluskiem wody o wybetonowany brzeg. Ellman widać przeżuwał to, czego się dowiedział. Miałem nadzieję, że jego niewiedza nie wpędzi go w kompleksy. W końcu mój informator to był zawodowiec. Nie mógł poprzestawać na ogólnie znanych plotkach.

— Słuchaj — odezwał się wreszcie Piotr Olgierd — co Paweł robił w chwili, gdy go zamordowano?

— Pisał — odparłem.

— Co?

— Nie wiem. Nie znaleźliśmy tekstu.

— Ale pisał na maszynie?

— Na maszynie. To ci robi jakąś różnicę?

— Nie dowcipkuj. Posłuchaj. Farbą drukarską można sobie pobrudzić ręce na przykład zmieniając taśmę w maszynie do pisania.

— Czemu Niewczas miałby to robić akurat w trakcie pracy?

— Widać, żeś ty już dawno przy maszynie nie siedział! Taśma się drze, jeżeli jest zużyta. Paweł spieszył się, walił w klawisze jak wściekły, mógł porwać taśmę. Wtedy musiał ją zmienić.

— Dobra, ale jakie to ma znaczenie dla mnie, dla śledztwa? To tylko wyjaśnia ewentualnie, skąd te ślady na rękach?...

— Mylisz się. To może mieć kapitalne znaczenie. Czytałem nawet kiedyś taki kryminał „nieważne. Jeżeli się pisze na świeżej, nie używanej przedtem taśmie, to to, co się pisze, odbija się na niej i pozostaje. Oczywiście tylko przy pierwszym pisaniu. Potem, gdy przebieg taśmy zmieni kierunek, litery nakładają się na siebie... Wariat! Gdzie lecisz?!!

Ale ja już go nie słuchałem. Gnałem co sił do samochodu, dając mu znaki, by biegł za mną. Zachodziła wprawdzie obawa, że dostanie zawału serca, ale w tej chwili było mi to zupełnie obojętne.

Już od pół godziny nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Wychodziłem na korytarz, wracałem, spacerowałem po pokoju, paliłem dużo, kilkakrotnie sprawdzałem, czy aparat telefoniczny w moim pokoju nagle się nie zepsuł. Byłem pewien, że genialne — zważywszy jego stan — uwagi Piotra Olgierda stanowią klucz do rozwiązania zagadki śmierci Niewczas, rozwiązania wprawdzie zupełnie (lub prawie zupełnie) bez mojego udziału, ale ku chwale bogini sprawiedliwości, a o lo w końcu szło przede wszystkim.

Wreszcie telefon zadzwonił,

Słuchałem bardzo uważnie i w miarę upływu czasu gęba mi się wydłużała. Gdy ekspert skończył, zapytałem dla formalności o kilka drobiazgów i podziękowawszy, rozłączyłem się. Już spokojnie, ba, z odczuciem, że każdy ruch kosztuje mnie bardzo wiele wysiłku, zapaliłem nowego papierosa i dosłownie opadłszy na urzędowe krzeselko, chwilę gapilem się przed siebie cokolwiek bezmyślnie.

Zakład kryminalistyki poinformował mnie, że w koszu na śmieci w mieszkaniu Pawła rzeczywiście znaleziono mocno zużytą i w kilku miejscach podartą taśmę do maszyny do pisania. Ale taśma, zdjęta z maszyny, na której krytycznego wieczoru pisał Niewczas, też — jak się okazało — nie była nowa. Używano jej dość długo i także by się pewnie wkrótce podarła. Widać Niewczas nic miał w domu nowej taśmy i w rozpaczliwej sytuacji sięgnął po to, co znalazł pod ręką.

Przez chwilę czułem się tak, jak zapewne musiał się czuć Syzyf, gdy przekłety kamień po raz dwusetny stoczył się w dół.

## Zawsze miałem pecha

---

*Poniedziałek, po południu*

Poprosiłem go, by usiadł. Skwapliwie skorzystał z zaproszenia, wyciągnął paczkę kentów, poczęstował mnie, a gdy w rewanżu zaproponowałem kawę, nie dał się prosić. Widać było, że im mniej to spotkanie mieć będzie przykry, urzędowy charakter, tym bardziej będzie mu to odpowiadało,

— Wybaczy pan śmiałość — zacząłem, gdy przybrał pozę zdecydowanie kawiarniano-klubową — jak mam się do pana właściwie zwracać?

— Och... — poruszył się i pokraśniał. — Nie będziemy z tego robić problemu. Jak panu wygodniej, to proste. Można po imieniu, nie mam nic przeciwko temu. W firmie mówią do mnie „redaktorze” lub „szefie” — dorzucił rozbijając.

— A zatem, panie Apolinary...

— Apolinary? Nie rozumiem — zmieszał się lekko. — Mam na imię Adam.

— Słusznie, przepraszam, panie Janku... Patrzył na mnie jak na wariata.

— Pan mnie chyba myli z kimś innym — powiedział z troską w głosie.

— To pan mnie chyba myli z kimś innym — odparłem najobojętniej, jak umiałem. — Dał się pan nabrać na mój młody wiek. A pozory — jak pan wie — czasem mylą.

Mocno zaciągnął się papierosem. Wyraźnie nie wiedział, co w tej sytuacji począć.

— O ile dobrze pamiętam, ostatnie wygłoszone przez pana podczas naszej pierwszej rozmowy stwierdzenie dotyczyło unikania skrajności. Deklarował się pan jako zdecydowany przeciwnik ekstremizmu we wszelkich jego postaciach. Trochę to sprzeczne z opiniami Jana Dudy o twórczości naszego wielkiego pisarza Dionizego Kwapisza. Nieprawdaż?

— Nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Pan mi zabiera cenny czas, bawiąc się w jakieś podchody...

— Czyżby? — przerwałem mu. — Ustalenie czarno na białym, że to, co mówię, to prawda, nie zabierze mi więcej niż czterdzieści osiem godzin. Wystarczy telefonogram do opolskich „Odcieni”. Niechże się pan

przestanie bronić w tak bezsensowny sposób. By pokazać panu, że jestem do tej rozmowy dobrze przygotowany, powiem może, jaki jest stan rachunku oszczędnościowo-rozliczeniowego numer 1515-30645-170-4...

Skurczył się w sobie. Milczał.

— Czy rozumiemy się? — spytałem. — Muszę przyznać, że spodziewałem się sensowniejszej linii obrony.

— Przed czym mam się bronić? Co pan mi zarzuca? Posługiwanie się pseudonimem w działalności publicystycznej? To śmieszne! — wyraźnie odzyskiwał równowagę.

— Ma pan rację, to rzeczywiście śmieszne: redaktor naczelny wysoko notowanego pisma krytycznoliterackiego jest w gruncie rzeczy marnym fraszkopisem, zbijającym na tym kokosy. Co więcej — ów naczelny, mieniący siebie zwolennikiem krytyki otwartej, bezkompromisowej, okazuje się być dyspozycyjnym krytykiem panegirystą, wychwalającym pod niebiosa twórczość dawno wyeksploatowanego średniego literata o licznych „zasługach”. Ma pan rację, redaktorze Dumala, to rzeczywiście jest śmieszne!

— Pan nie ma prawa tak mówić! Dążenie do tego, by w krytyce literackiej ferowano sądy dorównujące naukom ścisłym, sądy nieomyłne i sprawdzalne — to utopia. Literatura i krytyka to dyscypliny artystyczne. Człowiek nie jest doskonały, a zresztą dochodzi tu jeszcze sprawa smaku literackiego. Powieści Kwapi-sza cieszą się niewątpliwym i obiektywnie sprawdzalnym uznaniem...

— Jak wiele innych podobnych — przerwałem mu. — Pan zdaje się zapominać, gdzie żyjemy. Nigdzie bardziej niż tu dobra prasa i poczytność, czy szerzej: popularność, nie mają tak dwuznacznego charakteru. Zresztą dajmy temu spokój. Pan jest po prostu nieuczciwy, redaktorze, w najbardziej bezpośrednim tego słowa znaczeniu- I to mnie interesuje znacznie bardziej niż pańska względność kryteriów. Chcę tylko wiedzieć, jak daleko sięga granica pańskiej nieuczciwości. Dlaczego pan zabił Pawła Niewczasa?

Zatrząśł się na dźwięk tych słów. .

— Ja?!!! Ja miałem zabić Niewczasa?!! To koszmarna pomyłka! Dlaczego miałbym to zrobić?

— Bo gdyby pan tego nie zrobił, byłby pan za jakiś czas skończony. Skończony pod każdym względem. Za przyczyną Niewczasa, rzecz jasna.

— A to dlaczego?

— Bo Niewczas przejrzał pańskie gierki, i to na wszystkich płaszczyznach. Skandal, wywołany ujawnieniem informacji, jakie uzyskał, zatoczyłby szerokie kręgi.

— O czym pan mówi? O jakich informacjach?

— Nie domyśla się pan — postanowiłem zabluffować — jaki to ostry tekst publicystyczny szykował Niewczasa na rozkładówkę w „Nowinach...” w wieczór, poprzedzający jego śmierć? To miał być tekst o panu i o pańskich wcieleniach.

Chwilę myślał nad czymś intensywnie, po czym rzekł:

— Pan podobno otarł się kiedyś o naszą branżę. Czy naprawdę wierzy pan, że tekst, o jakim pan mówi, mógłby się gdziekolwiek ukazać?

„No, no — pomyślałem. — Coraz lepiej ”.

— Odsłania się pan — odparłem spokojnie. - - Anomalie naszego życia publicznego to ma być argument, który przemawia na pańską korzyść? Zapomina pan chyba, że istnieje jeszcze forum, któremu zamknąć ust nie są w stanie ani układy, ani cenzura. Mam na myśli społeczeństwo, a wasze środowisko w szczególności. Tu by się pan ośmieszył i to potężnie. Przegrałby pan. Musiałby pan odejść. Traktuję to na swój użytek jako pewnik i ponawiam pytanie: dlaczego zabił pan Niewczasa? Albo nie, na to odpowiedź już znam. Zapytam więc tylko: czy pan się przyznaje?

— Nie! — powiedział zdecydowanie.

— Po co odwiedził pan mieszkanie Pawła Niewczasa krytycznego wieczoru? Zaznaczam, że znaleziono tam niedopałki kentów, a pan je, o ile wiem, bardzo lubi.

— Nie ja jeden palę kenty... — próbował się bronić.

— Zgoda. Nie pan jeden. Czy chce pan,, abym kazał pobrać próbkę pańskiej śliny i przeprowadzić badania identyfikacyjne?

Znów się skurczył i siedział chwilę bez ruchu. Machinalnie sięgnął po papierosa, ale spojrzawszy na paczkę, odsunął ją ze wstrętem.

— Nie zabiłem Niewczasa — powiedział po chwili. — Rzeczywiście, byłem w jego mieszkaniu krytycznego wieczoru, nawet dwa razy. Ale nie mam nic wspólnego z tą zbrodnią.

— Po co pan tam poszedł?

— Chciałem z nim porozmawiać. Wiedziałem, że wyszperał o mnie informacje, które były dla mnie... trochę... krępujące. Sądziłem, że się dogadamy...

— Chciał go pan przekupić?

— Chciałem porozmawiać. On wielu rzeczy jednak nie rozumiał, o wielu innych po prostu nie wiedział, nie mógł wiedzieć. Nie wchodził w wiele spraw...

— W wiele układów, chciał pan powiedzieć...

— Może pan to nazywać, jak się panu podoba. Chciałem po prostu otworzyć mu oczy...

— O której poszedł pan tam po raz pierwszy?

— Wyszedłem z domu przed dziesiątą wieczorem. Widzi pan, na tę rozmowę szykowałem się już od jakiegoś czasu...

— Proszę dalej.

— U Niewczasa byłem krótko po dziesiątej. Był zajęty, pisał dla nas artykuł...

— O czym?

— Nie wiem, nie pytałem go. Miałem ważniejsze sprawy.

— Rozumiem. Proszę dalej.

— Chciał mnie zbyć. Jak się dowiedział, z czym przychodzę, wpadł w złość, stał się nieprzyjemny. Nawet szydził ze mnie. Powiedział, że należałoby się z takimi ludźmi obchodzić bezwzględnie, bo tylko wtedy...



— Dalej.

— Dużo mówił, gorączkowo, był poirytowany. Zrezygnowałem z rozmowy i wyszedłem. Jeździłem po mieście, nic mogłem się uspokoić, chociaż czułem podświadomie, że najgorsze mi nie grozi. Ale redaktor Niewczas był impulsywny...

— Pan powiedział: jeździłem...

— Byłem wozem. Zastawą...

— Dziękuję. Niech pan mówi dalej.

— Błąkałem się po mieście dłuższy czas. Zajeżdżałem do kilku kawiarni, piłem koniak, kawę i dalej... Wciąż nie byłem pewien, czy mogę tę sprawę tak zostawić. Spora dawka alkoholu spotęgowała jeszcze mój niepokój. W jakimś nocnym lokalu na Mokotowie podjąłem decyzję: muszę się z nim rozmówić ostatecznie. Pojechałem. W mieszkaniu jeszcze się świeciło. Pukałem, ale nikt mi nie otwierał. Wtedy nacisnąłem klamkę. Drzwi ustąpiły. Wszedłem.

— Która to była godzina?

— Z pewnością dobrze po północy, myślę, że byłem tam nie wcześniej niż o wpół do pierwszej. Zdziwiła mnie cisza. Maszyna nie stukała. Myślałem, że skończył i będę mógł się z nim rozmówić. Ale on nie żył. Ciało leżało pośrodku pokoju. Może pan sobie wyobrazić, co poczułem. Nigdy jeszcze w życiu nie bałem się tak, jak wtedy. Ostatkiem przytomności rozejrzałem się po pokoju. Nigdzie nie znalazłem ani kawałka zapisanego papieru. Ale bałem się szukać dokładniej. Uciec stamtąd jak najprędzej — oto czego pragnąłem. Zgasilem światło, spuściłem zapadkę zatrasku yale i zamknąłem drzwi. Byłem pewien, że nikt się nie dowie o mojej tam bytności. Zapomniałem tylko o tych przeklętych, zostawionych wcześniej niedopalkach. Zawsze miałem pecha...

Zaśmiałem się w duchu po tym ostatnim stwierdzeniu Dumay. Dobrze sobie. On i pech! Chociaż — może... W końcu wszystko wyszło na jaw. Tak dobrze żarło — i zdechło.

— Kto to wszystko może potwierdzić? — spytałem. — Ma pan na to jakichś świadków?

— Nie mam — odparł krótko.

— Wcale się nie dziwię. To bardzo interesująca historia. Na pana miejscu zmieniłbym tylko pointę i nieco uporządkował czas. Zabił pan Niewczasą jakieś pół godziny wcześniej. Pan po prostu kłamie, Świadomie zaciera prawdziwy obraz wydarzeń, które rozegrały się między godziną zero a zero dwadzieścia. Skąd pan miał broń?

— Powiedziałem prawdę. Nie mam nic więcej do dodania.

Zamilkł i nic odzywał się, nagabywany kilkakrotnie w różnych kwestiach. Nic odezwał się też ani słowem, gdy usłyszał, jak mówię:

— Jest pan zatrzymany jako podejrzany o zabicie Pawła Niewczasą.

Zbliżała się dwudziesta druga. Siedziałem w wannie pełnej gorącej wody. Ze stojącego na sedesie radiomagnetofonu sączyła się jakaś nastrojowa muzyka. Byłem rozluźniony i zadowolony z siebie. Nie myślałem o niczym, poddawałem się po prostu rozleniwiającemu ciepłu, pierwszej zapowiedzi senności, która

nadchodziła niepostrzeżenie. Uczucia, które wzbudził we mnie dzwonek telefonu, stojącego w przeciwnym kącie niewielkiego mieszkania, nie były najtrudniejsze do zdefiniowania.

Gdy okazało się, że dzwoni profos aresztu komendy stołecznej, który błaga mnie na wszystkie świętości, bym zaraz przyjechał, bo jeden z zatrzymanych, niejaki Dumala, ma dla mnie wiadomość, czułem, że dostaję szewskiej pasji. Miałem ochotę za

pytać go, czy nie zna sposobów, by uspokoić swych krewkich podopiecznych, ale dałem spokój. Bo jeżeli naczelnym „Nowin...” rzeczywiście ma coś ważnego do powiedzenia?

Śmiejąc się więc w duchu ze swoich szyderstw pod adresem pisarzy powieści kryminalnych, kreujących uparcie model „detektywa bez wytchnienia”, wyciągnąłem zatyczkę z wanny i zacząłem się ubierać.

Gdy wszedłem do celi, Dumala zerwał się z pryczy i zaczął mi wylewnie dziękować.

— W porządku — ostudziłem go. — Mam nadzieję, że nie jechałem na darmo.

— Mam świadka, który stwierdzi moją niewinność. Dobrego świadka. Milicjanta.

Pomyślałem, że ze strachu dostał pomieszania zmysłów.

— Zostałem zatrzymany przez patrol z drogowki. Złapali mnie na radar. Przekroczyłem dozwoloną prędkość.

— Gdzie to było?

— Chyba za Wałbrzyską...

— Co pan tam robił?

— Mówiłem już panu: jeździłem po mieście jak błędny, bez celu i sensu.

— Pan wspomniał, że w jednym czy drugim lokalu pił alkohol. Milicjanci tego nie spostrzegli?

— Nie jestem dzieckiem. Nie tarzam się po paru kieliszkach winiaku.

— Spisali pana?

— Tak, kazali też zapłacić mandat.

— Która to była godzina?

— Nie wiem. Ale oni powinni to zanotować.

Rzeczywiście, o n i p o w i n n i to zanotować. Sprawa była więc wciąż niejasna. W końcu samochód daje możliwość szybkiego przenoszenia się z miejsca na miejsce.

— Czyli dalej pańskie alibi pisane palcem na wodzie?

— Niech pan to wszystko dokładnie sprawdzi — w jego oczach znów pojawił się strach. — To jedyne, co mi może pomóc. Chociaż, jak znam swego pecha, zdaje się, że nic mi nie pomoże. Nie wygrzebię się z tego za żadne pieniądze.

— Za pieniądze na pewno nie — powiedziałem wychodząc.

Spotkałem się z nim ponownie nazajutrz rano. Był zmęczony, zdenerwowany, ale w oczach tliła się iskierka nadziei.

— Jest pan wolny, panie redaktorze — powiedziałem. — Wygląda na to, że mówił pan prawdę. Odnalazłem meldunek o zatrzymaniu pańskiego samochodu. To było dziesięć minut po północy.

Niewysłowiona ulga odbiła się na jego twarzy.

— Czy mogę usiąść? — spytał. Wskazałem mu krzesło, a gdy zajął miejsce, zapytałem:

— Mimo tego, że zatrzymała pana milicja, zdecydował się pan jechać ponownie do Niewczasa? Nie bał się pan jakiegos pechowpgo zbiegu okoliczności?

— Nie jestem przesądny — odpowiedział wyniośle.

— Może to ile? — powiedziałem przekornie. — Gdyby pan wiedział, ile osób przewinęło się tego wieczoru przez mieszkanie Pawła, zrozumiałby pan, że szansa uniknięcia spotkania z którymś z jego gości była znikoma.

— Ale mordercy nie widział nikt, prawda?

Miał cholernie dużo racji. Rzeczywiście, mordercy nie widział nikt. Gdy wychodził, rzuciłem za nim:

— Temu sierżantowi od radarka powinien pan postawić dużą wódkę. I niech pan nigdy więcej nie mówi, że ma pan pecha. W końcu pan naprawdę na śmierci Niewczasa zyskał. Nikt się o niczym nie dowie...

„Cudowne” ocalenie Dumay z nieliczej w końcu opresji nie było jedyną tego dnia niespodzianką. Znacznie większą i być może brzemiennejszą w skutki sprawili mi eksperci z zakładu kryminalistyki. Udało im się bowiem na podstawie łuski, znalezionej na miejscu zbrodni, zidentyfikować pistolet, z którego zastrzelono Pawła. Był to typowy PW-43, zwany potocznie „tetetką”. Okazało się też, że figuruje on w milicyjnych rejestrach. Według zawartych w nich informacji właścicielem broni był od 1946 roku Dionizy Kwapisz, z zawodu literat. Uzyskał on na posiadanie broni oficjalne zezwolenie, przez kilka lat po wojnie mieszkał bowiem w Opolu, na Ziemiach Odzyskanych, a nie było to w tym czasie w Polsce miejsce do życia najbezpieczniejsze. Pistolet miał Kwapisz jeszcze z partyzantki, toteż podanie o zezwolenie na jego zatrzymanie motywował poza względami bezpieczeństwa także „sentymentem do wojennej pamiątki”. Ponieważ był już znany ze swych konspiracyjnych publikacji, z otrzymaniem zezwolenia nie miał kłopotów...

Nie była to dla mnie wiadomość dobra. Kwapisz — to było nazwisko, które się mimo wszystko liczyło. A ja musiałem odbyć z nim rozmowę... Mało przyjemna perspektywa. Zastanawiałem się, dokąd jeszcze zaprowadzi mnie moje śledztwo...

## Frustracja

---

*Czwartek, bardzo późnym popołudniem*

Bułat Okudźawa trzeci raz prześpiewał swą najnowszą płytę. Butelka klubowego winiaku niebezpiecznie pustoszała. Pomyślałem, że następny kieliszek zmniejszy jej zawartość do poziomu, po którym zaczniesz się już tylko niepokój o resztę godzin nadchodzącego wieczoru.

Byłem zmęczony. Nie mogłem wziąć nic na sen, chcąc bezpiecznie doczekać jutra. Łeb pękał mi dosłownie, ból paraliżował każdą pokusę wysiłku umysłowego. Pomyślałem, że to wszystko już nie dla mnie.

Ostatnie czterdzieści osiem godzin spędziłem niemal bez przerwy w czytelni czasopism biblioteki na Koszykowej. Przez ten czas udało mi się przeczytać większość tego, co przez lata swej działalności zdołał napisać Paweł.

A pisał on sporo, choć nie miało to charakteru pogoni za wierszówką. Felieton — to była miara, poniżej której właściwie nie schodził. Nie pisał o głupstwach, jakkolwiek ktoś chce ten termin objaśniać. Mniej więcej o północy tego dnia upływał dziesiąty dzień od jego śmierci, ale fakt, że pewne koncepcje zaczęły mi się rysować, nie miał z kalendarzem nic wspólnego. Po prostu po kilkunastu godzinach spędzonych niejako sam na sam z Pawłem wszelkie opowieści o tym, że jego gwałtownej śmierci nie należy łączyć ze sprawami zawodowymi, byłem gotów bez chwili wahania włożyć między bajki. Sto kilkadziesiąt przeczytanych przeze mnie tekstów jego autorstwa umocniło mnie w przekonaniu, że jeden z ich bohaterów jest mordercą. Wcześniejsze rozmowy, jak również jaki taki obraz środowiska, który sobie wytworzyłem, utwierdziły we mnie przeświadczenie, że chyba wiem, o kogo chodzi.

Moje podejrzenia wzmagała sfera odczuć osobistych. Nie da się ukryć, że od czasu do czasu, czytając co cenniejsze sformułowania Pawła, a z zacierałem ręce z uciechy, chwilami wybuchałem stłumionym śmiechem, gorsząc sąsiadów przy bibliotecznych stolikach, a może wzbudzając ich zazdrość. Niemal fizycznie odczuwałem, jak wzrasta mi gorączka, jak chwilami pod kaskadami radosnego śmiechu znajdowałem w sobie dziwną wściekłość, podszytą satysfakcją, że ktoś to wszystko jednak zobaczył i napisał.

A jednak po każdym takim seansie wstawałem od stołu dobitny i zniechęcony. Z całą jasnością uświadamiałem sobie bowiem fakt, że to Pawłowe pisanie zdało się psu na budę. Raz po raz trafiałem na dowody, że wyśmiewani przez Niewczasa i kompromitowani doszczętnie Jego argumentami faceci egzystowali wcale nie gorzej, chwilami w żywe oczy kpiąc z jego sądów i nadal robiąc swoje. Pisali i wydawali książki, ktoś je w dobrej wierze kupował, ktoś wcześniej wydawał na ich produkcję niemałe pieniądze...

Ta sytuacja dawała się zaobserwować także w tonie tekstów Pawła. Z początku były one lekkie, prześmiewcze, czasem złośliwe. Z upływem lat przybywało w nich jednak nowych tonów. Pojawiało się szyderstwo, świadczące wyraźnie o rosnącej bezradności piszącego, prowadzącej chwilami do nieopanowanego gniewu.

Nalałem sobie następną porcję winiaku i jeszcze raz nastawiłem płytę Okudźawy. Teksty jego ballad, ich bunt ukryty w subtelnych aluzjach i metaforach, świetnie nadawały się jako tło do tego wszystkiego, o czym myślałem, a co od lat siedziało we mnie jak drzazga.

Ja przecież już wiedziałem, kto zabił Pawła Niewczasa. I byłem pewien, że zdołam to udowodnić w ciągu kilkunastu najbliższych godzin.

# Porozmawiajmy o pieniądzach

---

*Piątek, raczej rano, to jest około jedenastej*

— Jak pan widzi, poruczniku, ostatnia jego książka ukazała się u nas trzy lata temu. To była pozycja *Zabłąkana czarownica*.

Rzuciłem okiem na kartotekę, którą trzymała w ręku, następnie przez chwilę patrzyłem dziewczynie w oczy. Była bardzo ładna, urodą oryginalną i można by rzec — wyciszoną. Prócz tego miała świetną figurę, co zaobserwowałem, gdy wspinała się na składaną drabinkę, by sięgnąć na wyższe półki wielkiej szafy z dokumentami.

— Więcej propozycji nie składał? — spytałem.

— Ależ tak, kilka, to niezwykle pracowity autor — zaakcentowała wyraźnie słowo „pracowity”, a w oczach załśnił jej błysk rozbawienia.

— Fachowcy nazywają to, o ile się nie mylę, „pisarz płodny”, prawda?

— Tak, fachowcy mówią o takim „płodny” — rozmowa prowadzona na granicy kpiny wyraźnie sprawiała jej przyjemność.

— Zna pani któreś z tych tekstów?

— Wszystkie — odparła. — Zajmuję się właśnie literaturą, która pana interesuje...

— Tylko doraźnie, na użytek dochodzenia — zastrzegłem się.

— Mnie też tylko doraźnie, na użytek posady, jaką tu dostałam.

— Co pani o nich sądzi?

— Interesują pana moje recenzje?

— Raczej pani zdanie...

— Jeżeli chodzi o mnie, nie rozgraniczam.

— Jest pani w wyjątkowo dogodnej sytuacji. Ja czasem muszę.

— Biedny — powiedziała cicho i bardzo miękko, uśmiechając się sympatycznie. Pomyślałem, że poproszę ją o te recenzje i będę się modlił, żeby były gdzieś na górnych półkach, żeby znów musiała użyć składanej drabinki.

— Pokażę panu wszystko, co mamy o jego ostatnich propozycjach. Musieliśmy to obrecenzować na wszystkie strony. Ten pan jest nieustępliwy, lubi się też obrażać i skarżyć do szefów. A czasem i do szefów szefów.

Wstała, otworzyła inną z szaf. Chciałem jej podać drabinę i już wstawałem z krzesła, ale ona przykucnęła i z samego dołu wyciągnęła trzy ospałe segregatory. Dłuższą chwilę szperała w nich, raz po raz odkładając na bok spięte spinaczami arkusiki.

Redaktor Magda Rowińska była pracownicą wydawnictwa „Profil”, które w naszym życiu kulturalnym wyróżniało się tym, że wyraźnego profilu nie miało wcale, miało za to dużo papieru i mnóstwo wolnych „mocy przerobowych”, co prowadziło do zawałania rynku wydawniczego wysokonakładowymi chałami, zalegającymi w większości księgarskie lady, ale za to wypełniającymi należycie istotne zapotrzebowanie społeczne, co dla nikogo nie ulegało wątpliwości. „Profil” zajmował się też między innymi wydawaniem tak zwanej literatury masowej albo — jak kto woli — popularnej. Kiedy w sprawie Niewczasa co nieco zaczęło mi się kojarzyć, pomyślałem, że to będzie chyba dobry trop.

Wcześniej tego samego dnia odwiedziłem inne nasze wydawnictwo, „Oficynę Autorów”, drukujące głównie typowe „czytadła” w dużych nakładach. Informacje, które tam uzyskałem, umocniły mnie zdecydowanie w moich podejrzeniach, ba, podbudowały je niemałą ilością materiału. Miałem nadzieję, że wizyta w „Profilu” nie zamąci klarownego obrazu, jaki zaczął mi się rysować. Wiadomości uzyskane od uroczej Magdy Rowińskiej wskazywały, że szedłem dobrym tropem.

— Tu ma pan wszystko, poczynając od roku 1977 — powiedziała, zamykając ostatni skoroszyt. — Jest co czytać, a i zabawa będzie chyba niezgorsza — znów błysk rozbawienia w ciemnych oczach. — Można pana ugościć herbatą?

— Mocną, jeżeli pani taka uprzejma,...

— Mocną — znów uśmiechnęła się ślicznie i wstała. Śledziłem ją wzrokiem, gdy szła w kierunku drzwi, ale zaraz przywołałem się do porządku i wziąłem do ręki przygotowane przez nią materiały.

Lektura wciągnęła mnie już po paru minutach. Magda dyskretnie postawiła przede mną parującą szklankę z bosko pachnącą zawartością i zajęła się swoimi sprawami. Raz po raz podnosiła jednak na mnie wzrok w chwilach, gdy wybuchałem tłumionym śmiechem. Okazji takich było kilkanaście, najwięcej podczas lektury recenzji Pawła i samej Magdy, która — czego się zresztą spodziewałem — okazała się bystra, inteligentna i oczywiście cudownie złośliwa (w granicach, rzecz jasna, przyzwoitości).

Po godzinie miałem te lektury za sobą. Nasunęły mi one kilka wniosków, z których najważniejszy wydał mi się ten, że nieustępliwość Niewczasa pomalutku udzielała się innym recenzentom, ośmielała ich. Nie dotyczyło to może tylko opinii wyrażanych przez Magdalenę Rowińską, która właściwie od początku miała w kwestii pisarstwa mojego ktosia zdanie sprecyzowane.

Inni opiniodawcy z początku się certo-wali, unikali wyrażania sądów kategorycznych, obchodzili zagadnienia, wyraźnie starali się nie narazić ani nie podłożyć.

Z biegiem czasu zaczęło się to trochę zmieniać. Nawet najostrożniejsi stawali się bardziej zdecydowani, a ich opinie jaśniejsze, wyrażane bardziej stanowczo. Tu i ówdzie znalazłem w recenzjach ślady opinii Pawła. Te same kwestie, podobnie formułowane zarzuty. A więc wszystko się zgadzało — działalność Niewczasa stawała się bodźcem dla innych.

Magda już od dłuższego czasu przyglądała mi się rozbawiona.

— Widzę, że lektura skłoniła pana do głębokich przemyśleń...

— A gdybym powiedział, że jest pani bliższa prawdy, niż pani przypuszcza?

— A pan jest absolutnie przekonany, że ja to wszystko uważam za niegroźną zabawę? Pracuję w tej firmie już kilka lat i muszę panu powiedzieć...

— Że kilka razy musiała pani zdrowo się nabiedzić, by się tu utrzymać — dokończyłem za nią. — Zdziwi się pani, ale wierzę. Znam trochę życie. I środowisko też. Kiedyś sam w nim tkwiłem, tak mi się przynajmniej wydawało.

Była wyraźnie zdziwiona, choć starała się tego nie pokazać. Wreszcie spytała:

— Więc co pan robi t e r a z ?

— Staram się udowodnić sobie, że jednak jestem niezły — odparłem po chwili namysłu,

— Poprzednio panu nie wyszło? — w jej głosie i twarzy dostrzegłem wyraźne rozczarowanie. Widać miała mnie za *lucky mana*, za kogoś, komu szczęście sprzyja i kto nie musi lecieć na łeb na szyję w społecznej hierarchii. Posmutniałem.

— W każdym razie ja byłem tego zdania i decyzję podjąłem świadomie.

Patrzyła na mnie bardzo uważnie dłuższą chwilę, po czym znów cicho powiedziała:

— Zdaje się, że czasami za dużo gadam. Czy chciałby pan jeszcze jakichś informacji?

Poczułem, że znów zaczynam ją lubić. Zaraz jednak skarciłem się w duchu za moją bezbrzeżną próżność i rzuciłem tonem biznesmena:

— Chciałbym porozmawiać o pieniądzach.

— Jeżeli chodzi o pożyczkę, to przykro mi, ale nie mam.

Roześmieliśmy się oboje. Było dużo lepiej.

— W lej chwili interesują mnie ci, którzy mają ich sporo, a raczej mieli ich sporo do pewnego momentu. Macie tu chyba jakąś komórkę finansową, która to wszystko liczy?

— Dział umów i finanse, o to panu, zdaje się, idzie?

— Coś w tym rodzaju.

— W takim razie zaprowadzę pana...

— Nic dułoby się na miejscu, z panią...?

— *Za* dużo pan ode mnie wymaga.

— To dopiero początek...

W dziale umów przedstawiła mnie kilku pracującym tam kobietom i wyjaśniła, z czym przychodzę. Słyszając to urzędniczka o dwukrotnej chyba nadwadze podniosła się z trudem z za biurka, otworzyła drzwi jednej z identycznych jak w poprzednim pokoju szaf i przystawiła do niej taką samą jak poprzednio Magda drabinkę. Reszta różniła się jednak zasadniczo, bo gdy ujrzałem ją wspinającą się z niemałym trudem po uginających się szczebelkach, natychmiast odwróciłem wzrok nie tyle z powodu niesmaku, ile raczej ze strachu.

Drabinka jednak wytrzymała, pulpecik grzebał chwilę w papierach, po czym powoli opuścił się na dół i dotknąwszy szczęśliwie ziemi, podał mi kilka sporych, po-rubrykowanych i gęsto zapisanych, kartonowych arkuszy.

— Proszę, tu jest wszystko, co może pana interesować. Co się tyczy danych na okoliczność ostatniego czasokresu, musi pan zajrzeć do tabeli stawek autorskich, opublikowanej w „Dzienniku Ustaw”. Koleżanka Rowińska zabezpieczy panu pakiet adekwatnych materiałów...

Uciekałem do pokoju koleżanki Rowińskiej, jakby mnie kto gonił. Ciekaw byłem, kto zabezpieczy mi adekwatną porcję nervnsolu na okoliczność utraconego w ostatnim czasokresie olimpijskiego spokoju.

— Trochę grosza to on jednak za to wziął — stwierdziła z podziwem Magda, gdy skończyliśmy skomplikowane nieco rachunki.

— Ważne jest dla mnie raczej to, czego nie wziął, chociaż mógł — odparłem. — Prawie dwa miliony w ciągu trzech lat. to jednak sporo...

— Liczy pan łącznie z tym, czego dowiedział się pan w „Oficynie Autorów”?

— W zasadzie tak. Bo czasem i tu, i tam nosił te same teksty. Ale do „Oficyny...” zaniósł też trzy rzeczy, z którymi do was nie przyszedł. Idzie mi o *Pokochaj własną śmierć*, *Śmierć stała w bramie* i *Błękitną teczkę* — odczytałem z notesu tytuły.

— Zgadza się, ale u nas złożył dwa maszynopisy, z którymi nie poleciał do „Oficyny Autorów”. Były to prace *Okup dla czarnych* oraz *Szkielet w ruinach*...

— Boże! — westchnąłem. — Co za tytuły...

— Mnie się też podobają. I niech "pan żałuje, że pan tego nie czytał.

Nie podzieliła natomiast mojej ochoty na intymne spotkanko przy kilku butelkach dobrego piwa. Powiedziała, że jest zajęta, a ja nie wiedziałem, jak mam to rozumieć.

## Żytniówka prawdę ci powie

---

*Ten sam piątek, tyle że po południu*

Gdy wszedłem, byli już w komplecie. Zaproponowali mi z miejsca „szczeniaka”, ale odmówiłem. Chciałem od razu przejść do konkretów. Widać jednak oni inaczej nie umieli, bo wobec mojej odmowy uraczyli się sami. Postanowiłem, że do następnego „szczeniaka” nie dopuszczę. Nie byli młodzieniaszkami, a mnie bardzo zależało na ich dobrej pamięci.

— O której zaczęliście panowie grać? — spytałem na wstępie.



— Zebraliśmy się około dwudziestej — odparł gospodarz, Klemens Tyski, emerytowany prawnik, znany z niesłabnącej miłości do młodych aktorów, ze szczególnym uwzględnieniem piękniejszej części tej grupy zawodowej. Był przedmiotem kpin

połowy miasta, o jego wyczynach opowiadano legendy, dowcipy mnożyły się piętrami, znałem kilku takich, co osobiście asystowali niegdyś przy największych blamażach erotycznych mecenasa, o które zresztą było tym łatwiej, im bardziej starszy pan napalał się, by udowodnić, że mimo nadchodzącej siedemdziesiątki nie powiedział jeszcze w dziedzinie seksu ostatniego słowa.

— I tak było późno — wtrącił drugi z obecnych, Jerzy Jarski, wicedyrektor wydawnictwa „Oficyna Autorów”. — Gdy idzie o spotkanie brydżowe, Klemens mawia zazwyczaj: „damy nie lubią czekać”. Zgadza się, panie mecenasie?

Zagadnięty uśmiechnął się obleśnie, ukazując mocno przeredzoną galerię poślódkłych pieńków. Pomyślałem, że największą frajdę sprawiłaby mu partia preferansa grana porno kartami *made in Denmark*.

— Piliście, panowie, tego wieczoru jakiś alkohol? — spytałem z miną pierwszego naiwnego.

— Trochę — odpowiedział Tyski.

— To znaczy?

— Co to za picie! — zirytował się wyraźnie Jarski. — Każdy z gości przyniósł pół litra, gospodarz dokładał zakąskę i coś do kawy...

— Co było do kawy? — zainteresowałem się.

— Trzy czwarte litra martineau, a co, nie wolno? — nabzdyczył się gospodarz,

— Wolno — odpowiedziałem spokojnie. — Czyli, dokonując prostych obliczeń, na każdego z panów wypadło pół litra i jeszcze po „maluchu”, zgadza się?

— Nawet kaca nie miałem — pochwalił się trzeci z obecnych, Dionizy Kwapisz.

— Pamięci za to też nie — zareplikowałem ostro. Ci panowie mieli zadziwiająco wysokie mniemanie o swoich możliwościach.

— Zaraz, ktoś nam próbuje sugerować, żeśmy się upili — obruszył się Jarski. — Pan jest jeszcze młody, poruczniku. Rozegraliśmy tego wieczoru kilka wcale udanych szlemików...

— I twierdzicie nadal, że cały czas byliście razem? — przerwałem mu.

Zamilkli raptownie i patrzyli na siebie nieco skonsternowani.

— Fakt, Dionizy przecież na chwilę wychodził — zreflektował się Tyski.

— Panowie mają na myśli pana Kwapisza? — spytałem.

— Tak, właśnie mnie — odparł klasyk.

— Po co pan wychodził, dokąd i jak długo trwała pańska nieobecność? — spytałem starannie i spokojnie wymawiając poszczególne słowa.

— Zaraz, chwileczkę, o co chodzi, poruczniku? — zaatakował mnie Tyski. — Czy pan Kwapisz jest o coś podejrzanym?

— A jeżeli odpowiem, że tak?

— To będzie pan musiał przedstawić mu konkretne zarzuty i dowody — nie dawał za wygraną. — A i wtedy może odmówić zeznań...

— Oczywiście — czułem, że swędzą mnie cebulki włosowe. — Czy nie sądzi pan jednak, że to po pierwsze nierozsądne, a po drugie w tej sytuacji znamienne? W końcu idzie o śmierć człowieka...

— Daj spokój, Klemens — Kwapisz sięgnął po butelkę z ginem. — Pozwoli pan, poruczniku, że dla porządku zapytam jednak: o co jestem podejrzany? Czy pan czasem nie szarżuje, młody człowieku?

— Odpowiem panu — starałem się być grzeczny jak fryzjerczyk. — Kilka godzin temu otrzymałem z zakładu kryminalistyki wyniki badań łuski od naboju, którym uśmiercono Pawła Niewczasą. Na podstawie typowych śladów zidentyfikowano broń, której użył morderca. Ten pistolet od 1946 roku jest pańską własnością, ma go pan zresztą zupełnie legalnie...

— O cie Florek!! — Jarski gwizdnął przeciągle. — Nizek, o co tu chodzi? Przecież ty...

— Nonsens! — Kwapisz wyraźnie się zirytował. — Czy pan jest pewien tego, co powiedział, poruczniku?

— Mogę w każdej chwili przedłożyć stosowną ekspertyzę naukowców.

— No tak... Czułem, że z tego może być coś niedobrego — żyjący klasyk sięgnął drżącą ręką po wygasłą fajkę.

— Dionizy! Co się, do cholery, stało?! — Tyski zirytował się nie na żarty. — Co ty masz z tym wszystkim wspólnego?

— Ktoś mnie chce zrobić... Poruczniku, niech pan posłucha. Rzeczywiście, miałem broń, starą „tetetkę”, jeszcze z lasu... Potem mieszkałem koło Opoli... Pętało się tam niemało rozmaitej swołoczy, szabrowników, hitlerowskich niedobitków, reakcjonistów, wrogów ludowej władzy... cóż, nie wiadomo jeszcze było, czy popiół, czy diament... — dramatycznie zawiesił głos... — Taak... pozwolono mi więc broń zatrzymać... Przechowywałem ją starannie, konserwowałem... wszyscy wiedzieli o tym... Nie robiłem z tego tajemnicy. Okazało się jednak, że ufność nie popłaca. Na początku sierpnia obchodziłem jubileusz: pięćdziesiąt lat w służbie literatury... Jak było trzeba, z bronią, a potem z piórem... — znów popadł w liryczną zadumę. — Władze postanowiły uczcić mnie, zorganizowano skromną, ale godną i wzruszającą uroczystość. Był minister, koledzy literaci, prasa, przedstawiciele innych środowisk twórczych... sąsiedzi z Parnasu, jeżeli można tak nieskromnie... Następnego dnia zauważyłem brak pistoletu. Przetrzęsnałem cały dom, ale — jak to u wieszczki Adama — ręka długo i głęboko szukała... nie znalazła... Najpierw byłem wstrząśnięty, potem się przestraszyłem... Ale przecież, do pioruna — niespodziewanie wzburzył się groźnie — natychmiast zadzwoniłem, gdzie trzeba, i zameldowałem! Nie powiedziano panu o tym, poruczniku?

Zrobiło mi się niewyraźnie.

— Nic o tym nie wiem — powiedziałem czerwieniąc się jak sztubak. — Mimo wszystko historia jest mocno zawikłana...

— Skandal! — Jarski zapalał świętym oburzeniem. — Ładne porządki! Nie wie lewica, co robi prawica...

— Sprawdzę to — przerwałem mu stanowczym tonem. — Pana Kwapisza zaś chciałem spytać o jeszcze jedno: ozy pamięta pan, kto odwiedził pana z okazji jubileuszu? Może pan podać nazwiska? Widzi pan, nie muszę tłumaczyć, że to ważne...

— Dla mnie też ważne — naburmuszył się klasyk — ale chyba pan nie sądzi, że spamiętałem wszystkich gości. W końcu było u mnie z pół setki ludzi... może więcej...

— Kto mi może pomóc w ustaleniu listy gości?

— Ministerstwo, może związek... Bardzo proszę o informację, gdy sprawa się wyjaśni, poruczniku. Ze swej strony poinformuję o tym bałaganie właściwe instytucje!

— Oczywiście, ma pan prawo — powiedziałem po prostu. — Tymczasem jednak skoro sprawa pistoletu utkwiała w martwym punkcie, może dokończymy rozmowy o brydżu. Stanęliśmy na tym, że pan Kwapisz wychodził w trakcie spotkania. Ponawiam moje pytanie: dokąd pan wychodził i jak długo trwała pańska nieobecność?

— Rzeczywiście wychodziłem. Pamiętacie chyba — zwrócił się do swych kompanów — że Kazio prosił mnie o kupno papierosów? Właśnie w trakcie gry mu się skończyły...

— Nie mógł pójść sam?

— On ma kłopoty z chodzeniem. Artretyzm, w jego wypadku — prawie kalectwo... — wyjaśnił Jarski i zasepił się. — Cóż, w tym wieku... Zawsze ktoś go w podobnych wypadkach wyręczał.

— A jeszcze tak niedawno obaj żeśmy w tygodniu po parę orgietek... — rozmarzył się jurny mecenas.

Wzdrygnąłem się na samą myśl.

— Jak długo pana nie było? — zwróciłem się do Kwapisza.

— Myślę, że około trzech kwadransów...

— Trochę długo — stwierdziłem.

Z mieszkania, gdzie krytycznego wieczoru odbywał się brydżyk, można się było do Pawła dostać bez trudu w dziesięć minut.

— Coś podobnego! — znów wykypiał klasyk. — Panu się wydaje, że kupno papierosów w Warszawie niemal o północy to fraszka! Musiałem się nieźle nała-zić...

— Co bynajmniej nie przysłużyło się sprawie szlachetnej sztuki brydża — wtrącił Tyski. — Nie mogliśmy grać, więc piliśmy... Zawsze uważałem, że żytniówka to trucizna. Podobno robią ją z jakiegoś proszku...

— Nigdy tego świństwa nie kupuję. — wyznał Jarski.

— Ani ja — zgodził się Tyski.

— Kto przyniósł żytniówkę? — spytałem dla porządku.

Cisza, jaka zapanowała po tych słowach, zdumiała mnie niepomiernie.

— No właśnie: kto to cholerstwo kupił? — w głosie Tyskiego słyhać było oburzenie.

Nikt się nie odezwał.

— Dionizy, tyś przyniósł to świństwo? — spytał gospodarz.

— Za kogo mnie masz? Miałem w domu śliwownicę, to ją wziąłem — żyjący klasyk poczuł się dotknięty.

— Żeby nie było wątpliwości: ja przyszedłem z winiakiem klubowym — pospiesznie wyjaśnił Jarski. — O ile pamiętam, Kazio kupił to samo. Śmierdzi naftą, ale daje się pić.

— Może więc pan zamiast obiecane martineau ugościł przyjaciół żytniówką? — zwróciłem się do Tyskiego.

Zadrżał z oburzenia.

— Od dwóch lat nie splamilem się nabyciem tej trucizny! — zagrzemiał. — Kilka razy picie żytniej smutno się dla mnie skończyło. Od tej pory jestem ostrożny. Gdyby nie to, że wcześniej się trochę wlałem...

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Sprawa zaczęła mnie naprawdę intrygować.

— A skąd tak właściwie wiadomo, że zmogła panów właśnie żytniówką? — spytałem.

— Gdy ocknąłem się następnego dnia z kacem jak stąd do Uralu — wyjaśnił gospodarz — i zabrałem się do sprzątanía po gościach, na stoliku, wśród opróżnionych butelek zauważyłem właśnie flaszkę po żytniej. Wtedy zrozumiałem wszystko.

— Ma pan może jeszcze te butelki?

— Powinny stać w szafce pod zlewem — gospodarz podniósł się z fotela. — Nie będę co chwila latał wyrzucać...

Poszedłem za nim. W kuchni pod zlewozmywakiem stało kilkanaście butelek. Choć puste, były zakręcone oryginalnymi zakrętkami. Gospodarz wskazał te, o które szło. Obejrzałem je dokładnie. Dwie po winiaku klubowym i jedna po śliwownicy miały zwykłe gładkie zakrętki z jasnego metalu. Duża piersiówka po martineau miała zakrętkę dużo większą. Tylko zamknięcie butelki od żytniej różniło się od innych. Na wierzchu zakrętki z ciemnej, aluminiowej blaszki wytłoczony był napis „Pewex”.

— I takie coś sprzedają za dolary! — wzburzenie Tyskiego sięgało zenitu. — Porzygałem się już po drugim kieliszku jak kot. Reszta też nie mogła sobie znaleźć miejsca. Żłopali herbatę, otwierali okna... Próbowaliśmy jeszcze zagrać roberka, ale trwało to prawie do rana. Przestaliśmy odróżniać pika od kiera. W końcu daliśmy spokój...

Pomyślałem, że czasem starsi panowie bardzo źle się bawią.

Wyszedłszy od Tyskiego, spojrzałem na zegarek. Nie było jeszcze chyba za późno na to, by dowiedzieć się czegoś w sekretariacie związku literatów. Potrzebowałem koniecznie listy gości, zaproszonych na uroczystości jubileuszowe Kwapisza.

Zdażyłem w tak zwanej ostatniej chwili. Pani z biura (jak to zwykle) srodze wyrzekła, ale w końcu po kilkunastu minutach trzymałem w ręku listę. Roilo się na niej od dobrze mi znanych nazwisk. Część tych ludzi przewinęła się przez moje dochodzenie. Redakcję „Nowin Wydawniczych” reprezentował sam naczelny, Adam Dumala, miesięcznik „Kreacje” zwrócił się z prośbą o przybycie na uroczystość do Pawła Niewczasa, któremu towarzyszyła Iwona Bogusz. Studencki tygodnik kulturalny „Juvenalia” wydelegował do Leśnej Podkowy Grzegorza Gołdynia jako swego specjalnego wysłannika. Z ramienia „Oficyny Autorów” na uroczystość przybył zastępca dyrektora, Jerzy Jarski, reprezentowane były też inne instytucje kulturalne, urzędy i redakcje. Nie brakło przyjaciół i kolegów jubilata.

By upewnić się co do kilku spraw, zadzwoniłem jeszcze raz do Tyskiego i porozmawiałem z Kwapiszem. Po tej rozmowie uczucia miałem mocno mieszane.

Z jednej strony bowiem, niemal wszyscy znajdujący się w kręgu mego zainteresowania byli w Leśnej Podkowie obecni, mieli zatem okazję wykraść pistolet Kwapiszowi, co odbierało nadzieję na ograniczenie kręgu podejrzanych. Z drugiej jednak strony, mój ktoś był tam również. Ta wiadomość trochę mnie uspokoiła. Pomyślałem, że jeszcze nie przegrałem z kretesem.

## Od mety do mety

---

*Piątek, w godzinach nocnych*

Szliśmy we czterech ulicami wymarłego miasta. Centrum stolicy. Minęliśmy z pięć dużych knajp, czynnych jeszcze zapewne o tej porze, i blisko tuzin kawiarni. Nie minęliśmy natomiast ani jednego chyba człowieka. Szumnie lansowano tu niegdyś hasło „Warsaw by night”. Dziś została po tym pustka ciemnych bram i z rzadka oświetlone wystawy sklepów ze smętnymi resztkami jakichś dóbr, nie chcianych przez nikogo.

Szedłem w pierwszej dwójce z pewnym sierżantem z komendy na Wilczej. Markowaliśmy z powodzeniem chód dwóch lekko zawianych, ale spragnionych jeszcze dalszych wrażeń facetów. Dwieście metrów za nami, po przeciwnej stronie Marszałkowskiej, szło jeszcze dwóch wywiadowców z tej samej komendy. Celem naszej nocnej eskapady był plac Zbawiciela, największa, najpewniejsza i absolutnie ogół no warszawska meta. Interes nie do zdarcia, proceder niezniszczalny, w dziwny, ba, zagadkowy sposób opierający się wszelkim nalotom, obławom i akcjom specjalnym typu „Rynek” czy „Towar”.

Byliśmy już blisko celu, a nasz plan — niezwykle prosty — wynikał ze sposobu funkcjonowania „zbawicielskiej” oazy.

System bezpieczeństwa nie był zbyt wyrafinowany, ale skuteczny. Opierał się na starej, konspiracyjnej zasadzie „jeden do jednego”. Ogniwo pierwsze, tak zwany naganiacz, nawiązywało uliczny kontakt z potencjalnym nabywcą i po uzgodnieniu warunków (dyktowanych zazwyczaj jednostronnie) inkasowało należność. Ostatnim obowiązkiem naganiacza było doprowadzenie klienta do łącznika — faceta, który holował spragnionego do zakonspirowanego lokalu z zapasem wódeczki. Tu łącznik się zmywał, a nabywcę przejmowało ostatnie ogniwo — określić je można jako „źródło” lub „magazynier”. Tu klient wreszcie dostawał to, czego chciał, i mógł spokojnie oddalić się. Nietrudno policzyć, że aby wyłapać wszystkich trzech, trzeba było trzech ludzi. Czwarty wywiadowca był „rezerwowym”.

Skręciliśmy w prawo i po chwili znaleźliśmy się przed dawnymi nocnymi „Delikatesami”, gdzie niegdyś sprzedawano w nocy alkohol legalnie i po państwowych cenach, co komuś wydało się idiotyzmem. Zatoczyłem się lekko i spojrzałem za siebie. Nasz odwód wchodził właśnie na plac. Wszystko przebiegało zgodnie z planem.

— Flaszke? — usłyszałem niespodziewanie.

Odwrociłem się. Stojący koło mnie chłopak nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia dwa, trzy lata. Nie- wielkie oczy mrużył mu chytry uśmieszek.

— Raczej lak — odpowiedziałem rozwlekle — tylko za ile?

— Pół złocisza — rzucił krótko naganiacz.

— Kurwa, pięćset za flaszkę?!! — oburzył się mój towarzysz.

— W sklepie taniej — odparł ze stoickim spokojem chłopak i odwróciwszy się zamierzał odejść. Nie mogłem na to pozwolić.

— Marian, przestań — powiedziałem. — Tyle kosztuje i już.

Naganiacz znów zbliżył się do nas, Sięgnąłem do portfela.

— Dawaj — rzucił w moją stronę. Wysuplałem banknot i podałem mu,

— Idziemy. Kolega zaczeka — dysponował tamten, ruszając przodem.

Poszedłem za nim.

W tym momencie podbiegł do nas kapral z drugiej „dwójki”.

— Panowie, ja też! — zawołał. — Poczekajcie!

— Ciszej! — rozkazał naganiacz. — Nie pali się. Dawaj pan forszę!

Schował do kieszeni podany mu banknot i znów ruszył przodem. Poszliśmy za nim. Skręcił w Moko- towską. Na wysokości trzeciej bramy skręcił ponownie. Wszedł na klatkę schodową i zagwizdał fragment melodii z *Ojca chrzestnego*. Nasłuchiwał chwilę, po czym zaczął wspinać się po schodach. Poszedłem za nim.

— Panowie, chwilę, muszę się odlać — usłyszałem głos kaprała.

Naganiacz mruknął coś pod nosem i dalej piął się w górę,

Na półpiętrze, na parapecie okna wychodzącego na podwórko-studnię, siedział podobny mu chłopak w krótkiej, rozpiętej kurtce z granatowego sztruku.

— Dwie — rzucił mój przewodnik. — Drugi zaraz przyjdzie.

Łącznik niechętnie podniósł się z parapetu i nic spojrzawszy nawet na mnie, zaczął wchodzić po scho- dach. Ruszyłem za nim. Naganiacz zbiegł schodami w dół.

Byliśmy na wysokości drugiego piętra, gdy usłyszałem przeciągły acz urwany po chwili gwizd. Na jego dźwięk pilotujący mnie chłopak odwrócił się gwałtownie i w ułamku sekundy zobaczyłem jego wyciągniętą w desperackim kopniaku nogę niemal na wysokości swojej twarzy. Odskoczyłem w bok. Chwyciłem cwa- niaczka za stopę i pociągnąłem go ku sobie. Runął na schody i począł zsuwać się z nich w tempie jednostaj- nie przyśpieszonym. Doleciawszy do półpiętra, wyrznął plecami o ścianę. Na chwilę go zatkało. To wystar- czyło, bym go dopadł i schwycił za gardło.

— Tylko bez krzyków — szepnąłem. — Wchodzimy. Jasne?

Próbował szarpnąć się gwałtownie Przytrzymałem go i wałnąłem jego głową o ścianę,

— Jasne? — powtórzyłem.

Przez chwilę patrzył na mnie wzrokiem schwytej w pułapkę hieny, wreszcie przymknął oczy na znak zgody.

Wykręciłem mu rękę w łokciu. Podnieśliśmy się obaj i ruszyliśmy po schodach. Na trzecim piętrze łącznik skierował się do drzwi na prawo. Lewą ręką nacisnął umieszczony przy futrynie dzwonek. Dwa krótkie, dwa długie. Otworzono prawne natychmiast.

Pchnąłem go przed sobą. Wpadł na starego, wyglądającego niechlujnie faceta, stojącego w drzwiach. Tamten zatoczył się, kompletnie zaskoczony. Wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi.

— Milicja — powiedziałem.

Na dźwięk tego słowa stary odbił się od ściany i chciał poczęstować mnie pięścią. Chwyciłem go za rękę i wymierzyłem prawy sierpowy w żołądek. Jęknął i skulił się. Złapałem go za głowę i po prostu popchnąłem. Zwalił się ciężko na podłogę. Łącznik patrzył na to wszystko obojętnie.

— Podnieś go i zaprowadź do pokoju! — rzuciłem.

Wziął tamtego pod pachy i otworzywszy kopniakiem drzwi na lewo, wciągnął tam starego. Poszedłem za nimi.

— Siadać! — rozkazałem krótko. Spełnili moje polecenie bez ociągania się. W tym momencie rozległ się w umówiony sposób dzwonek. Poszedłem otworzyć. Wywiadowca wprowadził naganiacza. Rozcięta, krwawiąca nieco warga chłopaka świadczyła, że i tu nie obyło się bez łagodnej perswazji. Wskazałem im drzwi do pokoju.

— Będę się streszczał — powiedziałem. — Tym razem nie idzie mi o to, co robicie. Kolegium i grzywna was oczywiście nie miną, ale co to dla was. Odkujecie się pewnie w ciągu trzech, czterech dni. Mnie idzie o co innego. Ty — zwróciłem się do starego — zejdziesz teraz na dół i sprowadzisz tu za chwilę całe swoje kombo. Co do jednego. Jeżeli nie będzie cię za pięć minut, twoi współpracownicy powędrują na dołek. A jakby i tego było ci mało, dodam, że jestem oficerem wydziału zabójstw z Pałacu Mostowskich i za utrudnianie mi śledztwa w sprawie, którą prowadzę, grozi kara do pięciu lat więzienia. Rozumiesz?

Stary dygotał ze strachu, więc jego skinięcie głową zauważyłem z trudnością.

— Jest tu w okolicy jakaś inna meta? — spytałem. — Może ktoś wam robi konkurencję?

— Niechby tylko, kurwa, spróbował — rzucił spod okna łącznik.

— W porządku — powiedziałem. — Ruszaj, stary. I uprzedzam: pięć minut

Zmieścił się w czasie. Po paru minutach nasze towarzystwo powiększyło się o jeszcze dwóch chłopaków w zbliżonym do tamtych wieku.

— A więc jesteśmy w komplecie. Cieszę się — zacząłem. — Chcę, żeby sprawa była jasna. Mnie dziś głównie obchodzą wasze interesy. Od tego jest komenda na Wilczej i kolegium. Ale ja pracuję w wydziale zabójstw stołecznej komendy. I mam do was tylko jedno pytanie: kto z was zna tego faceta?

Wyjąłem z kieszeni kurtki zdjęcie i podałem stojącemu najbliżej.

Gorliwie wziął do ręki fotkę. W ogóle atmosfera zrobiła się luźniejsza, gdy okazało się, o co mi idzie.

Przekazywali sobie zdjęcie. Oglądali je uważnie. W pewnej chwili jeden z nich powiedział, zwracając się do „mojego” naganiacza:

— Zyziek, pamiętasz faceta? Jest chyba podobny do tego starego, co parę dni temu chciał płacić zielonymi...

— Fakt, podobny — odparł zagadnięty. — Wkurwił mnie swoją namolnością. Gdyby nie to, że chciałem dać zielone, gównem bym mu sprzedał. Bałem się, że narobi poruty. Mówił, że to, co robimy, jest nieuczciwe... Ale jaja...

— Kiedy to było? — przerwałem im.

— Grom wie. Parę dni temu, ale dokładnie...

— Mnie potrzeba dokładnie. Przypomnijcie sobie.

Zapadła cisza. Zyziek, mrużąc oczy, wpatrywał się w fotografię. Nawet stary, zainteresowany, podszedł i zaglądał mu przez ramię.

— Chyba na początku zeszłego tygodnia — monologował Zyziek. — W poniedziałek, na pewno w poniedziałek! — wykrzyknął wreszcie.

— Nie truj dupy, nie w poniedziałek, a we wtorek, w nocy — powiedział ten, który pierwszy zwrócił uwagę na faceta na zdjęciu. — Pamiętam, stałem wtedy na dole. Przyszedłem na plac późno, od rana we wtorek zdrowo zachlałem i jeszcze byłem kozłowy, jak nawinał się ten fajfus. Jak już skasowałem, zaprowadziłem go na górę. Łaził tak, że ledwo wyrobiłem. Łeb mi pękał, a tego musiałem prawie nieść. Kaleka, kurwa, a jeszcze mu gorzała w głowie...

Zapytałem o kilka szczegółów, aby upewnić się, że się nie mylą. Ale wszystko było na swoim miejscu. Zabawa skończona.

— Synu — zwróciłem się do „mojego” naganiacza — ja ci coś, zdaje się, dałem na dole, pamiętasz? I ten pan też — wskazałem na kaprała.

Niechętnie sięgnął do kieszeni i podał nam wręczone mu pół godziny temu banknoty.

— A teraz daj mi dwie flaszki — powiedziałem.

Zbaraniał.

— Nie rozumiesz po polsku? Dwie flaszki.

Sięgnął za stojący pod ścianą tapczan i podał mi dwie butelki żytniej. Spojrzałem na zakrętki — obie miały na wierzchu wytłoczony napis „Pewex” Podąłem mu swój banknot.

— Daj mi reszty.

Z miną zbitego psa sięgnął do kieszeni, wydobyl zwitek pomiętych banknotów, odliczył, podał mi.

— Jeszcze dowody osobiste. Wszyscy — powiodłem po nich przynaglającym spojrzeniem.

A kiedy pięć zielonych książeczek znalazło się w kieszeni mojej kurtki, powiedziałem do asystującego mi wywiadowcy:

— Idziemy na dół do chłopaków. Zapraszam was na chwilę do siebie. To niedaleko. I bez wykrętów. Jesteśmy po służbie...



# Kurtyna opada

---

*Sobota, późnym popołudniem*

Na piąte piętro wszedłem piechotą. Nic chciałem korzystać z windy, choć działała nadzwyczaj sprawnie. Miałem już kiedyś okazję to sprawdzić. Ale chciałem tę wizytę odwlec, przynajmniej o tyle, o ile to było możliwe. Chyba chcę przez to powiedzieć, że się jej trochę bałem.

Zadzwoiłem. Otworzył drzwi, a gdy mnie zobaczył, na jego twarzy pojawił się wyraz źle maskowanej niechęci.

— Dlaczego pan mnie nie uprzedził o swojej wizycie? Jestem zajęty. Piszę.

— Myśli pan, że warto? — spytałem z głupia frant.

Wytrzeszczył na mnie swe wyblakłe, okolone siwymi rzęsami oczy.

— Co to znaczy?! — podniósł głos. — To chamstwo. Nie pan będzie mnie oceniał...

— Niewczas też już nie, ale to jeszcze nic nie znaczy.

Oddychał z trudem. Pierś unosiła mu się rytmicznie, ale chyba trochę za szybko. Nadal patrzył na mnie nieruchomo. Tylko drganie kącików ust zdradzało jego wewnętrzne napięcie i furję.

— Proszę mnie wpuścić. Mamy sobie co nieco do wyjaśnienia — bezceremonialnie odsunąłem go i wszedłem.

Pokój był spowity w nastrojowym półmroku. Palila się tu jedynie silna, służąca do pracy lampa na biurku. W kręgu rzucanego przez nią światła stała niewielka maszyna do pisania z wkręconym, częściowo zapisanym arkuszem.

— Tak chyba musiał wyglądać pokój Pawła Niewczasu w chwili, gdy jedenaście dni temu odwiedził go pan, by go zabić, nieprawdaż? — odezwałem się, gdy gospodarz znalazł się koło mnie.

Zmarszczył się w gniewie.

— To oszczerstwo! Pan tego pożałuje...

— Już raz mnie pan straszyl i jakoś — widzi pan — nic mi się nie stało. Zapewniam pana, że nie przychodziłbym tutaj, gdybym nie był pewien, że pan jest mordercą.

Gestem ślepcy sięgnął po stojącą na biurku szklanę. Pił małymi łykami. Ręce trzęsły mu się coraz bardziej. Patrzyłem na to wszystko spokojnie. Czekałem, aż odzyska równowagę.

— Powtarzam: jest pan oszczercą — ciężko zwałił się na stojący obok wyściełany fotel. — Już panu mówiłem, gdzie znajdowałem się w tym czasie...

— To prawda, mówił pan — odsunąłem od biurka krzesło i usiadłem naprzeciw niego. — Ale rozmawiałem wczoraj powtórnie z pańskimi kompanami. Dowiedziałem się bardzo ciekawych rzeczy.

— Oni panu powiedzieli, że było inaczej? — powoli wracał do siebie, ale ręce wciąż mu drżały, a on nic mógł tego opanować.

— Nie, oni potwierdzili — przynajmniej z pozoru — pańskie alibi. Ale wszyscy byli już zdrowo pijani. Pan dobrze wiedział, że taka sytuacja sprzyjać będzie pańskim planom. Opuścił pan mieszkanie Tyskiego w chwili największego rozgardiaszu. Do mieszkania Niewczasa było stamtąd tylko pięć, no, dla pana może dziesięć minut.

— To wszystko jest po prostu wysrane z palca...

— Więc skąd pan wziął butelkę żytniówki, która tak dokumentnie wykończyła pańskich znajomych, że już nic nie mogli sobie przypomnieć?

Drgnął nagle i zaczął o czymś intensywnie myśleć. Dłuższą chwilę trwało milczenie.

— Zgoda. Zapomniałem o pójściu po wódkę. Ale to jeszcze nic nie zmienia.

— Zobaczymy. Gdyby się pan nie przyznał do wizyty na placu Zbawiciela, przedstawiłbym świadków, którzy rozpoznali pana i dokładnie określili termin pańskiej bytności. To nie było najostrożniejsze posunięcie, Wilczek. Trzeba było załatwić to jakoś inaczej. Bo, widzi pan, po papierosy wysłał pan Kwapisza. To było, przyznam, dość sprytnie. Przez chwilę zdawało mi się nawet, że nie dość dokładnie poprowadziłem to śledztwo. Dopiero butelka żytniej, o której nikt nie wiedział, skąd się wzięła, wskazała mi właściwy trop.

— Nie myśli pan chyba, że poszedłem najpierw na metę, a wracając skorzystałem z okazji i zabiłem Niewczasa. Wychodziłem z domu Tyskiego, to prawda, ale jedynym moim celem było kupienie wódki. Jeżeli pan zestawi to wszystko w czasie, zrozumie pan zapewne, że nie mogłem być...

— Ale to blisko, panie Wilczek, a jak się chce nałożyć nieco drogi, to można nawet obok domu Niewczasa przejść...

— Nie lubię nakładać drogi. I tak ledwo chodzę. A zresztą może pan sobie myśleć, co pan chce. Nie ma pan żadnych dowodów na to, że byłem tej nocy u Niewczasa, a bez dowodów pańskie oskarżenie zda się psu na budę. Zresztą jest jeszcze druga sprawa: motyw. Dlaczego miałbym zabijać tego człowieka?

Dłuższą chwilę mierzyłem go spojrzeniem.

— Wilczek, jesteś jednym z najbardziej kiepskich łgarzy i najgłupszych cwaniaków, jakich znam. Pytasz o motyw? Odpowiem ci. Kilka ostatnich dni spędziłem na włóczeniu się po czytelnich i wydawnictwach. Te pierwsze odwiedziłem po to, by dowiedzieć się, że dopóki żył Nie wczas, nie doczekałbyś się od porządnej prasy dobrego słowa, nie wydałbyś też chyba ani jednej więcej książki. Wizyta w tych drugich pokazała mi dowodnie, że w wyniku recenzenckiej działalności Niewczasa już do tego doszło. Mam podać konkretne przykłady? Mam podać zestawienia finansowe, z których wynika jednoznacznie, że na odrzuceniu przez wydawnictwa twoich kryminałków straciłeś ponad dwa miliony złotych?

Siedział chwilę tępo wpatrzony w siebie tylko wiadomy punkt. Wreszcie odezwał się:

— To wszystko insynuacje i pomówienia, oparte na bardzo mglistych konkretach. W końcu przez ostatnie kilka lat jedyne prawdziwe pieniądze, jakie zarobiłem, to honoraria za tłumaczenia. Za granicą, w Hiszpanii, NRD, w Niemczech Zachodnich moje książki idą też dobrze...

— I to by się skończyło — odparłem spokojnie, wpadając mu w słowa. — Wybierasz się do Francji? Na imprezę międzynarodową dla autorów powieści kryminalnych? Zgadza się?

— Tak. Dostałem zaproszenie. Zawsze dostaję...

— Ale tym razem na ten kongres nie pojechałbyś jako jedyny przedstawiciel Polski. Miałbyś kompana. Paweł Niewczas też się tam wybierał...

Skurczył się słysząc te słowa. Ręce znów zaczęły mu się trząść.

— Mogę ci powiedzieć więcej, Wiedziałeś, że Paweł tam jedzie i wiedziałeś, po co. Szykował na ten kongres obszernie wystąpienie poświęcone polskiej literaturze sensacyjnej. Miałeś być jednym z bohaterów tego wystąpienia.

— O niczym takim nie wiem! — wykrzyknął, ale nie dałem mu dojść do słowa.

— Kłamstwo! Wiesz o tym dobrze. Tak, jak wiesz, że w noc swojej śmierci Paweł pisał dla „Nowin Wydawniczych” obszerny szkic o twojej twórczości, zawierający szczegółową i daleką od układności i względów analizę twojego „dorobku”...

— Ma pan ten tekst? — zapytał wpadając mi w słowa.

— Nie, nie mam tego tekstu. Oryginał zapewne wyniosłeś i zniszczyłeś...

— A więc jeszcze jedna insynuacja — powiedział dysząc. — Zobaczysz, poruczniku, że będzie cię to wszystko drogo kosztować...

— Wilczek, posłuchaj mnie przez chwilę. Wiele lat ci się wszystko udawało. Pisałeś banialuki, zgarniałeś pieniądze i dobrze się czułeś. Ale widzisz — wraz z pojawieniem się na twojej drodze Niewczas szczęście zaczęło cię opuszczać. Opuściło cię także w noc zbrodni. Przemyślałeś wszystko sprytnie. Nie podoba mi się co prawda chwyt z posłużeniem się pistoletem długoletniego przyjaciela, ale to się da zrozumieć. Dla ciebie to nic nie znaczy, Dla ciebie liczą się tylko pieniądze, nauczyło cię tego twoje za łatwe w tym kraju życie, a Niewczas stanowił realne zagrożenie. Ale, jak powiedziałem, szczęście już cię opuściło. Widzisz, krytycznej nocy zabierając się do pisania, Niewczas założył do swojej maszyny nową taśmę. I znakomita większość tekstu, który napisał, odbiła się na niej jak na matrycy. Chcesz, żebym ci zacytował kilka fragmentów? — sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem kilkanaście złożonych we czworo kartek, zapisanych na maszynie.

Wpadł w straszliwy dygot. W kącikach ust pojawiła mu się spieniona ślina.

— Łgarstwo... to... to nieprawda... wszystko... bzdury... — oddychał z trudnością.

— Więc masz, czytaj — wyciągnąłem doń rękę z kartkami. Czulem, że się pocę.

Ale on nawet nie spojrzał. Trząsł się cały, wzrokiem błędząc gdzieś po zaścielającym podłogę dywanie.

— Nie musisz już nic mówić, Wilczek. Mam świadków, którzy cię widzieli w pobliżu miejsca zbrodni. Mam motywy, które mogły tobą kierować. Jest kilka mocnych poszlak — choćby sprawa broni, ty, jako przyjaciel Kwapisza, dokładnie wiedziałeś, jak się do niej możliwie dyskretnie dostać... Wybrałeś zresztą znakomity moment: tylu ludzi, kto się w tym wszystkim połapie? I jeszcze jedno, każę dokładnie zbadać całą twoją garderobę. Idę o zakład, że specjaliści znajdą gdzieś drobiny prochu strzelniczego... Piszesz, Wilczek, powieści kryminalne, a tak niewiele wiesz i o zbrodni, i o technice, która pomaga ją wykryć... Więc jak, przyznajesz się?

Ożył jakby nagle, wyprostował się, z furią wbił dłonie w boczne oparcia fotela. Bałem się, że rzuci się na mnie, ale on tylko wstał i wyrzucił z siebie:

— Tak, zabiłem... Zabiłem tego gnoja... tego szpicla... tego błazna pozującego na sprawiedliwego... Zabiłem go... i zabiłbym go jeszcze parę razy... żałuję, że nie wystrzelałem całego magazynka... gnida... ściwo... powinien umierać długo... bo długo zawadzał...

— Dość — przerwałem jego atak, jego litanię obelg i przekleństw. — Pan sobie uzurpuje zbyt wielkie prawa, Wilczek... Za dużo by pan chciał. Nie zasługuje pan na aż tak wiele. Jest pan marnym groszorem, któremu się udało, choć nie do końca. Ale tak już bywa. Niech się pan ubierze. Na dole czeka samochód!

Marzyłem o chwili, kiedy pozbędę się jego towarzystwa. Brzydził mnie.

## Drobna prośba Piotra Olgierda

---

*Niedziela, około południa*

Szykowałem się właśnie do wyjścia, gdy zadzwonił telefon. Z niechęcią podniosłem słuchawkę. Poznałem głos Ellmana.

— Gratulacje, Rafał, to była dobra, szybka robota. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że to mógłby być Wilczek? Forsa to jednak straszna rzecz. Czego to ona z ludzi...

— Masz rację — przerwałem mu — ale ja się trochę spieszę. Jeżeli chcesz, możemy pogadać szczegółowo jutro.

— Dobra, bo widzisz, Rafał, mam do ciebie taką małą, prywatną prośbę. Myślę, że mi nie odmówisz po starej znajomości...

Czułem swędzenie rąk. Ellman mówił dalej:

— ...wiesz, to bardzo przyjemna panienska, znam ją od paru lat. Miała kiedyś głupią historię: złapano ją na granicy, przewoziła parę niezbyt lubianych książek. Teraz wybiera się do Londynu i odmówili jej wydania paszportu. Ja wiem, że to nie twoja działka, ale jakbyś pogadał z kim trzeba... To dla ciebie detal, a sprawa ciągnie się już od kilkunastu dni...

W tym momencie usłyszałem przez okno dźwięk klaksonu, wygrywającego „La cucarache”. Wyjrzałem. Ciemnozielony maluch stał pod domem.

Popatrzyłem z niesmakiem na słuchawkę, z której wydobywał się wciąż potok słów Ellmana, po czym położyłem ją spokojnie na widelki. Złapałem kurtkę i wybiegłem z mieszkania. W końcu — jak powiedział ktoś niedawno przeze mnie przesłuchiwany — damy nie lubią czekać.

Aha, bo zapomniałem wam, zdaje się, powiedzieć, że redaktor Magda Rowińska za drugim razem była mniej oporna i telefonicznie obiecała mi spotkanie w niedzielę o dwunastej. To właśnie jej fiacik wygrywał na dole południowoamerykańską melodię. Te kobiety są jednak zmienne!

Toteż nie chciałem dopuścić, by się zniechęciła i odjechała. Za żadne pieniądze.